

BOGDAN PYRZ

ur. 1932; Piaski



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	I Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica w Lublinie ; współczesność ; Lublin ; Piaski ; Zamość ; Szczecin ; II wojna światowa ; okupacja niemiecka ; PRL ; ulica Okopowa ; ulica Pawia ; ulica Zamojska ; ulica Skłodowskiej-Curie ; dzieciństwo ; rodzina i dom rodzinny ; rodzeństwo ; stalinizm ; szkolnictwo ; edukacja ; koledzy szkolni ; nauczyciele I Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica ; profesor Szabelski ; profesor Komorowski ; profesor Grochowski ; matura ; matura 1951 ; basen przy I Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica ; mundurki szkolne ; UMCS ; Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie ; Wydział Weterynaryjny UMCS ; strajki szkolne ; strajk młodzieży szkolnej i studentów w 1947 roku ; harcerstwo ; Błękitna Jedynka (szczep harcerski) ; ZMP ; Związek Młodzieży Polskiej ; Szkoła Podstawowa w Piaskach ; Lublinianka ; Klub Sportowy Lublinianka ; szkolne kluby sportowe ; trenowanie boksu ; boks ; sport lubelski ; Dom Żołnierza w Lublinie ; WSK Świdnik ; praca zawodowa ; praca inżyniera ; studia ; studia inżynierskie ; Politechnika Szczecińska ; życie codzienne ; targi końskie ; targ w Piaskach ; życie podczas okupacji ; handel bimbrem ; getto ; getto w Piaskach ; Żydzi ; Akcja Reinhardt ; stosunki polsko-żydowskie ; żołnierze polscy ; żołnierze radzieccy ; żołnierze niemieccy ; żandarmeria niemiecka ; posterunek policji w Piaskach ; wyzwolenie Piask w 1944 ; zakończenie wojny ; Stamm, Feliks (1901-1976) ; Wilgol, Tadeusz ; Wnuk, Tomasz ; Wnuk, Jacek (1931-)

Kontynuujemy opowiadanie z czasów wojny. Działo się to wszystko w Piaskach koło Lublina, bo tylko z pozycji tej miejscowości przeżywałem i widziałem wojnę. Wracaliśmy już do domu, bo podczas bombardowania uciekaliśmy na wioski w pobliżu –gdzieś w granicach dziesięciu kilometrów od Piask, gdzie było spokojniej. Oczywiście te całe dziesięć kilometrów z tą sławną krową na sznurku szliśmy piechotą, [ja] z mamą, bratem i małą siostrą. [Front] przechodził przez centrum i Piaski w połowie było spalone. W tym czasie weszła armia radziecka i armia polska. I taki fakt zapamiętałem na całe życie. Jak doszliśmy przez ogródek pod dom, wyszło dwóch polskich żołnierzy, oficer i kapral. Oficer był w stopniu porucznika, mówił

prawie [wyłącznie] po rosyjsku, nie bardzo umiał po polsku mówić, natomiast ten kapral był rzeczywiście rdzennym Polakiem.

Jak zobaczyłem tych pierwszych polskich żołnierzy, to zacząłem do nich biec, ten kapral tak otworzył ramiona i ja, wtedy drobny, mały chłopak, wskoczyłem mu na rękę. I pierwsze słowa, które powiedziałem, to zapytałem, czy to prawda, że to Niemcy zamordowali polskich oficerów w Katyniu. Bo trzeba przyznać, że Niemcy w czterdziestym trzecim roku bardzo nas karmili tą propagandą, że to Rosjanie byli tacy bandyci. A z uwagi na to, że myśmy od Niemców baty dostawali, największe straty ponosili i nie znaleźmy jeszcze całej polityki, więc oburzałem się na to. I jak ja o to zapytałem, o prawdę, kto to zrobił, on mi odpowiedział tak filozoficznie: „Wiesz, dziecko, kiedyś historia o tym powie” Mnie to strasznie oburzyło, odepchnąłem się od niego, on mnie tak trzymał na rękę, zeskoczyłem. Strasznie byłem zły, dlatego on nie potwierdził tego. Bo ja byłem święcie przekonany, że to ci źli Niemcy, oni musieli to zrobić, nikt inny. I bardzo długo byłem o tym przekonany, że to Niemcy.

Potem okazało się, że było inaczej. Dlatego ludzie dość długo nie bardzo wierzyli w to, że to mogli zrobić Rosjanie. Bo takie nastawienie było, tym bardziej, że jak by na to nie patrzeć, od Niemców wyzwolili nas Rosjanie i armia polska, która przyszła z nimi. A według mojej oceny, niewola niemiecka i, powiedzmy, hegemonia rosyjska są nie do porównania. Oczywiście, mieliśmy ograniczoną wolność, nie mieliśmy takich, czy innych swobód. Ale to nie było to, co robili z nami Niemcy. I co mieli w planach. Bo gdyby to się wszystko przedłużyło, to holokaust nie zakończyłby się tylko na obywatelach żydowskich, nas czekałoby to samo. Zresztą, to było ciągle powtarzane, o tym teraz się zapomina, ale to codziennie powtarzano, że dzisiaj oni –mówiliśmy o Żydach –jutro my.

Jak się teraz, z pozycji dzisiejszej [patrzy] na te wszystkie sprawy [i pyta] –a dlaczego nie wszyscy pomagali Żydom? Dlatego, że nie mieli żadnej nadziei dla siebie. Dla siebie. Jeżeli jest się w takim położeniu, że się wie, że jutro się umrze, to, co się napomaga innemu, który umiera z boku? To niech umiera, ja jutro będę umierał. Tak samo, jak on. I dlatego dopiero [ten], kto to wszystko przeżył, może jakiś dać osąd i osądzać innych. Jak ja teraz słyszę dyskusje ludzi, którzy w życiu chyba nie przeżyli jednej dziesiątej, jednej setnej może tego, co ludzie, którzy przeżyli okupację i wszystkie draństwa, jakie były, to człowiek tylko z politowaniem może głową pokiwać, że to nie im osądzać innych.

1. Normalne życie po wojnie

Zacząło się to normalne życie, które w tym czasie było naprawdę biedne, ale już była tak duża inicjatywa wszystkich ludzi. Zaraz w pierwszych dniach było porządkowanie szkoły i uruchomienie lekcji. Nauczyciele byli przedwojenni, żona kierownika przedwojennej szkoły została kierowniczką szkoły podstawowej. Była nawet taka inicjatywa, żeby w Piaskach powstało liceum, ale chyba ze względu na niezmontowanie kadry nauczycielskiej ta myśl upadła i została szkoła podstawowa,

która rzeczywiście wtedy skupiała u siebie nie tylko naukę, ale i kulturę, i sport. To była placówka chyba całego życia kulturalnego i społecznego. To była taka placówka, która zaraz po wojnie była chyba najbardziej pożyteczna. Innych organizacji poza szkołą jeszcze nie było. Ale trzeba przyznać, że cała kadra nauczycielska to byli przykładni patrioci. Masę ich zostało wymordowanych przez Niemców, a inni kontynuowali nauczanie na tajnych kompletach.

I zaraz po wojnie, jak tylko przestały te działa huczeć –tu, blisko, bo pod Warszawą jeszcze huczały, to już wtedy ta kadra robiła bardzo dobrą robotę, ucząc tę opóźnioną młodzież, bo przecież nie wszyscy mogli się uczyć w czasie okupacji. My mieliśmy to szczęśliwe położenie, że byliśmy kuzynami i dobrymi znajomymi kierownictwa tej przedwojennej szkoły i dlatego mogliśmy, może nie bez przerwy, nie ciągle, bo te przerwy czasem były dość duże, ale zdobywać tę wiedzę i przechodzić z klasy do klasy. Tak, że [koniec] wojny zastał nas w granicach klasy siódmej. Brat, który wcześniej wyprzedzał mnie o jeden rok w szkole, teraz zrównał się ze mną, bo przez chorobę nie mógł na kompletach zrobić jednej klasy. Ale i nauczyciele doszli [do wniosku], bo bieda była przecież straszna, że jak nas będzie dwóch w jednej klasie, to dla mamy, która była w tym czasie samotna, bo przecież ojciec był w obozie i w ogóle nie było wiadomo, co z nim [się dzieje], będzie taniej i organizacyjnie łatwiej. Tak, że od końca szkoły podstawowej, czyli siódmej klasy, pomimo tego, że brat był ode mnie starszy, startowaliśmy już prawie do końca razem, bo i studia razem kończyliśmy.

Po skończeniu klasy siódmej zaczęto nas przygotowywać do zdawania do gimnazjum. Z tego powodu, że byliśmy na pewno dobrzy z niektórych przedmiotów, jak matematyka i nauki przyrodnicze, a przede wszystkim ze względów ekonomicznych, ustalono też, że będziemy zdawać od razu do drugiej klasy gimnazjum. Zaczęły się te przygotowania, też na kompletach prywatnych, za które się płaciło, ale myśmy niewiele chyba płacili, bo nas tam traktowali, jako sieroty wojenne, ponieważ ojca w dalszym ciągu nie było. Pamiętam, że to było rozsiane w kilku [miejscach], matematyki uczyła nas pani aż na wylocie Piask, inne przedmioty raczej w [centrum], a może nawet bardziej na północ. Tak, że trzeba było chodzić z tymi zeszytami, kilometry się robiło, żeby tę wiedzę zdobywać. Ale twierdzę, że robiliśmy to z przyjemnością, przynajmniej my z bratem nie mieliśmy oporów, z chęcią chodziliśmy, chcieliśmy się uczyć. Jednocześnie życie było normalnie ciężkie, bo matka przecież nie miała zawodu –jak mówiłem, zawód był: przy mężu. Zaczęła handlować w ten sposób, że kupcy piaseccy dawali jej w depozyt materiały bławatne, jak to się mówiło wtedy i mama jeździła, zresztą z koleżankami taką grupą, po targach w okolicach i sprzedawała. I coś tam z tego było. O tyle było dobrze, że to był depozyt, że się swojej gotówki w to nie angażowało. Myśmy potem także poszli w jej ślady, żeby pomóc. W Piaskach targi były w środy, to były duże targi, bo i końskie, znane w całej Polsce. Nawet był jakiś historyczny ukaz, znaczy zezwolenie na te końskie targi. Podobno było w Polsce tylko kilka miejscowości, gdzie można było

tak handlować końmi, na taką skalę.

Więc te targi były bardzo duże i my z bratem w środy, za wiedzą nauczycieli i rodziców, byliśmy zwolnieni z obowiązku szkolnego po to, żeby także mieć stolik i sprzedawać takie rzeczy, jak pasta do butów, sznurowadła, bibułka do papierosów, bo gotowych nie było. Takie właśnie drobiazgi, które też braliśmy od znajomych kupców w depozyt. I druga sprawa – sprzedawaliśmy lemoniadę. Ta była o tyle gorsza, to znaczy bardziej nieprzyjemna, że trzeba było z dziesięć butelek tej lemoniady nosić w metalowym wiadrze, w którym była woda. Bo chłop, jak pomacał, że [lemoniada] jest ciepła, to nie chciał. A, że tam na targu była pompa, więc trzeba było co raz tę wodę zmieniać, pompować, żeby była zimna, bo dopiero jak była zimna, to bardziej kupowali. A jak się sprzedawało te dziesięć butelek, to się biegło [po kolejne]. Te panie, które robiły lemoniadę w wytwórni znały naszą sytuację, więc nas bez kolejki puszczały, nasze butelki nabijały i goniło się znów na targ. Czyli albo się sprzedawało tę lemoniadę, albo towary wzięte w depozyt. I tak handlowaliśmy. To był rok czterdziesty czwarty, ja miałem wtedy dwanaście lat.

2. Kto handluje, ten żyje

Jak zabrali ojca i zostaliśmy z tą nowo narodzoną siostrą prawie bez żadnych [środków] do życia, nie było, co jeść i trzeba było się wszystkiego czepiać. Mama załatwiła to, że znajomy kierownik mleczarni, która była pod niemieckim nadzorem, sprzedawał nam ser. Myśmy to nazywali „ser spod centryfugi” A ta centryfuga, jak myśmy to nazywali, to było urządzenie, które wyciągało z sera białko i tłuszcz, i co tylko możliwe. Ten ser był smaku mokrej trociny, bo wszystko, co w nim było to, to się odebrało i to szło dla Niemców, a te podłe trociny, ten ser już mogli Polacy kupować. Trochę nam pomogła ciotka, która mieszkała w Lublinie. Mieliśmy to tak załatwione, że dziesięć kilogramów tego sera wozilo się w skrzynce do Lublina, różnie – furmanką, a jak zima, to saniami. Nie było innej komunikacji. W Lublinie na ulicy Pawiej na Bronowicach był drewniany [most] na Czerniejówce, tak zwany „garbaty mostek” Przechodziło się Czerniejówkę, schodziło przez ten „garbaty mostek” i za tym był sklep. W tym sklepie robiliśmy dostawę. Oni z kolei podobno w tym sklepie mieszało to ze śmietaną chłopską, wyciskali jak serki wiejskie i sprzedawali, jako normalny ser. Ale to już nas mniej obchodziło, bo nam chodziło tylko o dostawę. I proszę sobie wyobrazić, że niedożywiony, dziesięcioletni chłopak, niósł na plecach w szmacie dziesięć kilogramów sera, a serwatka ciekła po nogach. A piekło strasznie. I taki kawał drogi trzeba było iść i to odstawiać. Oczywiście, po drodze były makabryczne widoki.

Po pierwsze w tym czasie Niemcy nie nadawali palić w krematorium na Majdanku trupów. Palili je w Krępcu w lesie, według specjalnej technologii układania tego drewna, żeby się dobrze paliło. Technologię, jak układać duże polana drewna, jak te zwłoki układać, żeby one się dobrze spaliły, mieli opracowaną przez naukowców. Codziennie te trupy traktor wiozł, dwie przyczepy. Trup jest sztywny, a oni kładli dość

dużo, więc za przyczepą i za tym traktorem, który powoli jechał, bo te traktory nie były szybkie, tylko raczej w miarę wolne, szło dwóch więźniów z Majdanka, bo te trupy od czasu do czasu spadały na ziemię i trzeba było je z powrotem wrzucić. I to wszystko działo się na naszych oczach. A potem sprawa samego Majdanku. Sceny, gdzie widziałem na przykład, załatwianie się, zarówno kobiet jak i mężczyzn na oczach wszystkich, tam było normalną rzeczą. Pamiętam, że grodzili wtedy Majdanek, budowali nowe baraki, to nie było tak, że ktoś mógł tam gdzieś pójść na stronę, tylko robił tam, gdzie stał i Niemcy ich pilnowali. Szczucie wilczurem tych więźniów to było na porządku dziennym. I ja, jako mały chłopiec to wszystko widziałem, na to wszystko patrzyłem. No już nie mówiąc o tym –ale twierdzę, że to już było zwykłe złodziejstwo, a nie państwowa sprawa, że ci Niemcy z obstawy wychodzili i zabierali to, co wieźliśmy.

Ja wiozłem ten biedny ser, ale oprócz mnie jechało kupę kobiet, czy mężczyzn, którzy wieźli do Lublina dobry towar, bo wieźli masło, jajka, taki był handel. Mnie kilkakrotnie dobierali się do tego sera, ale jak uszczypnęli, spróbowali, to pluli. Nigdy nie zabrali, bo ten ser taki był niedobry, że im, cholera, nie smakował. Ale tak po prostu zarabialiśmy. A ten handel potem to już była wyższa szkoła jazdy. Już mieliśmy stolik, były rozliczenia. Także po okupacji handlowałem bimbrem. Normalnie szło się na wieś do określonych miejsc i kupowało się bimber. Niektóry był straszny. Raz kupiłem jakiś taki jakby mleko, ci chłopcy podobno chcieli to wapnem oczyszczać, robili straszne rzeczy. Co najgorsze, oni mi kazali próbować ten bimber, bo mówią: „Ej, handlarz, kupujesz i nie wiesz, co kupujesz” O dziwo, choć ja nigdy w życiu wódki nie piłem, to tego bimbru czasem strzeliłem i chociaż byłem głodny zawsze, to nie zrobiło to na mnie wrażenia, a bimber przecież jest mocny. Ja sobie dziś z tego nie zdaję sprawy, jak ja to wytrzymałem wszystko. I ten bimber najczęściej się potem sprzedawało żołnierzom rosyjskim. Ale nasi polscy też pili. I za to coś się miało, a to chleb, a to jakieś tam konserwy. I takie to było powojenne nasze życie. Powolutku, powolutku tak żeśmy z tych ruin tę naszą Polskę budowali. Ciężko było. Ale przede wszystkim chcieliśmy się rzeczywiście uczyć, zresztą mama ciągle powtarzała: „Żebyście kimś w życiu byli” To było takie powiedzenie mamy, żeby starać się być kimś w życiu. No i staraliśmy się, jak mogliśmy, choć mama też miała kłopoty z nami, bo do tego doszło jeszcze rozbieranie pocisków, to była znowu plaga.

3. Niebezpieczne zabawy

Po wojnie, po froncie, który przeszedł na polach, w miastach, po rowach było masę pocisków najrozmaitszego kalibru. Zarówno niemieckich, jak i rosyjskich, a także prochu. To były zarówno jeszcze ponemieckie i poradzieckie pociski. Chyba to jest normalne wśród chłopców, że trzeba było te pociski rozbierać. Nas interesował przede wszystkim proch z armatnich pocisków, a w związku z tym to były także pociski z niemieckich czołgów. One miały w środku taki proch rurkowy, takie długie rurki szare albo niebieskawe. Jak się zapaliło i zgasiło, to one nie gasły, gasł płomień,

ale w dalszym ciągu paliły się bez płomienia i wtedy ten dym z nich i spaliny chyba gdzieś wchodziły w środek, bo ta rurka leciała jak odrzutowiec. I to było cały dowcip, gdzie ona najwyżej polecie. Tylko, że ona czasem latała tak nieznośnie brzydko, że kolega spalił stodołę. Myśmy puszczała te rurki na szkolnym placu, ale [jedną] poleciała tak wysoko, że spadła na dach stodoły sąsiadów. A raz, ale to było groźne, spaliliśmy z kolegą taką kupę gałęzi sosnowych, już dobrze zeschniętych, które paliły się jak zapałki. To było pod taką obórką, która była murowana i nic więcej nie zdołało się spalić, ale strachu było dużo i awantura straszna z tego wynikła. Tak się to działo.

Natomiast patrząc teraz z perspektywy dzisiejszych dni, [widzę], że to było to naprawdę niebezpieczne. Taki czołgowy pocisk wyglądał mniej więcej tak, jak olbrzymi nabój karabinowy. To po prostu była łuska mosiężna i ten czub, który w nim siedział. Ten czub był najgroźniejszy, bo to on się rozrywał, on tam gdzieś leciał, ale trzeba go było od tej łuki odłączyć. A żeby go odłączyć, bo on był jakby zaprasowany, żeby pocisk wyjął z tej potężnej gilzy, to trzeba go było porządnie stukać. Na czymś go położyć skośnie i uderzać –my uderzaliśmy obuchem siekiery, żeby to obluzować. Pocisk wtedy odrzucaliśmy, bo był niebezpieczny, ale już łuska z tym prochem była dla nas do zabawy. Z tej łuski bardzo często robiło się wazony do kwiatów, ucinano się ją na odpowiednią długość i wstawiało się kwiaty, to było takie bardzo ozdobne. Teraz już gdzieś wszystko to poginęło, ale tak zaraz po okupacji często były w domach.

Natomiast nas interesował proch. Nie ma się czym chwalić, bo to było nieprzyjemne i niebezpieczne nawet. Między innymi był też taki proch, który był blisko sponki i pierwszy się zapalał. To były takie drobne kwadraciki i ja trzymałem ten proch w zapalniczce [w pudełku] od zapałek. W domu była jeszcze taka stara kuchnia, która składała się z blaszanej płyty z fajerkami, a nad nią był okap do komina. Ten okap miał takie obrzeże, gdzie mama sobie stawiała zapałki, czasem sól w solniczce, ale najczęściej właśnie te zapałki tam były. I nie wiem, dlaczego ja też ten proch w zapalniczce położyłem na tym okapie. Prawdopodobnie go suszyłem, ale już nie pamiętam. W każdym bądź razie, przychodzę kiedyś do domu –mama płacze. Siedzi w kuchni, płacze. I [czuć] taki jakiś dziwny smród, zapach taki jakiś dziwaczny, pytam, co się stało? Mama mówi: „Popatrz, co mi zrobiłeś” Poparzyła się. Ma, widzę, poparzenia na szyi, na dekolcie i jeszcze na policzku. Okazało się, że mama rozpałała kuchnię, sięgnęła po te zapałki, natrafiła na ten mój proch w tej zapalniczce, znaczy w tym pudełku po zapałkach. Odsunęła i widzi, że coś tam jest, ale nie zapałki, położyła na blasze obok. Nie wiedząc, że to proch. Sięgnęła po następne, bo zawsze tych zapałek było tam kilka paczek w zapasie, wzięła zapałkę, zapaliła, rozpałała kuchnię i gotowała normalnie obiad. Aż się ta płyta rozgrzała na tyle, że ta zapalniczka, która leżała niby z boku, na tej jakby dodatkowej płycie, jednak też się rozgrzała i ten proch po prostu rozerwał te zapalniczkę, wybuchł i w ogóle się zapalił, bo on tak wyskakuje płonący i się lubi wbijać w skórę. Mama potem długo to leczyła,

to były niewielkie oparzenia, ale groźne, tym bardziej, że ten proch tak się wtopił w rany.

Wtedy powiedziałem, że żadnych pocisków ani prochu nie będę znosić do domu. Bo przedtem miałem kilka pocisków w sienniku. Kiedyś nie było materaców, tylko takie potężne worki lniane, [w które] napychało się słomy i to się nazywało siennik. Może inni pchali siano, ale u nas to się słomą napychało. Ta słoma nie była taka prosta, tylko taka trochę zbita, trzeba było ją zgnieść i na takim ubitym sienniku dość dobrze się spało. Więc ja sobie tam w ten siennik kilka pocisków napchałem, żeby koledzy mi nie ukradli, bo kradli jak miałem gdzieś kryjówkę poza domem. A że wtedy chorowałem, to żeby zabezpieczyć napchałem sobie w siennik takie trzy pociski i miałem pod sobą. Potem rozebrałem je i miałem proch. Bo nam o ten proch chodziło. Tak samo robiliśmy granaty fajne. Kiedyś butelki po lemoniada miały te specjalne zamknięcia, takie kapsle zamykane na zatrzask. A te nasze granaty polegały na tym, że proch armatni, który wyglądał, jak gruby i krótki makaron, nasypywało się na dno butelki, tak gdzieś z centymetr, a rozgrzany okurek papierosa kładło się w szyjkę tej butelki. To wszystko było robione na leżąco, tak, że ten okurek nie dotykał do tego prochu, który tam gdzieś był w buteleczce na dnie. Zamykało się na leżąco ten zamek i rzucało. Wyrzucało się przed siebie. Przy tym wyrzucie okurek wpadał do prochu, proch się zapalał i rozrywał tę butelkę. Był i huk, i płomień, i, oczywiście, odłamki szklane. Tak, że to był dość dobry granat rażący. Robiliśmy wojnę nawet, walczyliśmy między sobą na te butelki. Szczęśliwie nikomu się nic nie stało, no poza tym, że kolega kawałek takiej stertki słomy podpalił, bo tam się skrył nieprzyjaciel i on rzucił za nim tą butelką i podpalił. Ojciec tego chłopca potem nas gonił po polach, ale jakoś uciekliśmy. Chuliganiliśmy prawdopodobnie, ale takie były te powojenne czasy. Ciągłeśmy wojowali, ciągle chcieliśmy tych naszych nieprzyjaciół unieszkodliwić.

4. Nauka w Staszicu

W (19)46 roku kończymy siódmą klasę. Dlaczego Staszic? Prawdopodobnie dlatego, że tam przed wojną startował syn sąsiada, tego, który wrócił z Francji, przywiózł aparat filmowy i prowadził jedyne przed wojną kino w Piaskach. [Wtedy] moja mama rozpacziała, że nie mogłaby nas wykształcić, bo nie było by nas stać, skoro on mógł tylko syna wykształcić, pomimo tego, że miał własne kino. Ale okazało się, że właśnie po okupacji można było się uczyć i do tego Staszica startować. Prawdopodobnie tam nas skierowano właśnie dlatego, że mama sobie tak marzyła. I tu trzeba powiedzieć jasno i wyraźnie, bo teraz nie każdy tak się chce do tego przyznać, że jego by nie było stać. Gdyby to były przedwojenne czasy, gdyby nie ten dostęp powszechny ludzi do nauki za darmo, to wielu ludzi, którzy mieli rodziców niezamożnych, wiele chłopskich dzieci nie wykształciłoby się. Przed wojną to za wszystko trzeba było płacić, trzeba było mieć mundurek, trzeba było za stancję zapłacić, przecież na to wszystko nie było stać wielu rodziców. Nas przygotowano właśnie też ze względów ekonomicznych od razu do drugiej klasy gimnazjum, kiedy koledzy w naszym wieku

startowali do pierwszej i szło im tam nieźle. Nam natomiast, a przede wszystkim mnie –bardzo źle. Przede wszystkim za sprawą łaciny i francuskiego, bo te dwa języki to w ogóle była czarna magia. No, bo kto nas mógł na kompletach przygotować z francuskiego, czy łaciny, kiedy ten, co uczył sam nie umiał tego języka. A to jeszcze druga klasa! Jak tu zdawać od razu do drugiej klasy, kiedy się nie ma żadnego pojęcia prawie o tym języku? I to była taka nasza, moja i brata, najgorsza kula u nogi, te języki. Ale przy okazji wszystko inne też, bo choć czasem według mnie człowiek nieźle odpowiadał, to jak trójczynę dostał, to już się cieszył.

Summa summarum na którąś wywiadówkę miałem siedem dwój. Ale za to byłem sportowcem dobrym i z biedą, ale jakoś zdaliśmy tę małą maturę. Mam świadectwo małej matury, z tym, że wszyscy mówili, że to tak z łaski nas puścili mnie i brata. Brata to wkurzyło i przeniósł się do technikum pocztowego, to było tak zwane technikum elektryczne słabych prądów, chodziło o te urządzenia telefoniczne, czyli to było w zasadzie technikum telefoniczne. On miał nadzieję, że na podstawie tego dostanie się na politechnikę, bo wszyscy celowaliśmy na politechnikę. Ja natomiast z przekory powiedziałem, że zostanę. I stał się cud. Ja się już więcej specjalnie nie uczyłem, a moi szanowni profesorowie, zaczęli mówić, że takiego repetenta to nie było do tej pory w szkole. No tak się wziął za robotę! A tak naprawdę to ja z matematyki już prawie wcale się nie uczyłem, bo to było tylko powtarzanie. Powtarzałem klasę, czyli spotkałem się z moim rocznikiem. I to było o tyle dziwne, że nawet z francuskiego i z łaciny to mnie zaczęli stawiać trójki, ale już takie prawie pewne. Natomiast, jeżeli chodzi o fizykę, matematykę, astronomię, bo wtedy też była, logikę, to miałem dobre stopnie. Fizyki i astronomii uczył nas profesor Szabelski, taki znany [nauczyciel] nauk ścisłych w Lublinie. To do tego dochodziło, że mnie wysyłał na zastępstwo do młodszych klas w Staszycu, upoważniając mnie do stawiania stopni. Czego nigdy nie robiłem, ale rzeczywiście prowadziłem lekcję dwa, czy trzy razy, bo on był tak rozchwytywany, tak obstawiony, że po wszystkich też żeńskich liceach [uczył]. I jak nie miał czasu, czy miał jakieś inne sprawy do załatwienia to się właśnie mną wyręczał. Polecił mnie na korepetycje do syna takiego znanego felczera.

Miałem wtedy kupę pieniędzy przez jakiś czas, bo na tych korepetycjach bardzo dużo zarabiałem. Mało tego, matematyk potem tak we mnie wierzył, że nawet jak klasówkę źle napisałem i o tym wiedziałem, że źle napisałem to mi stawiał „bardzo dobry”i koniec. Koledzy potem chcieli ode mnie zeszyt, bo był zwyczaj, żeby sprawdzać od tych, co mieli piątki. A ja ten zeszyt podarłem. Dla jego dobra i mojego. Bo źle napisałem klasówkę i wiedziałem, że się pomyliłem, a on prawdopodobnie nie sprawdzając, tylko na podstawie opinii o mnie, już stawiał mi 5. I tylko czekałem, jak skończę maturę, żeby im powiedzieć swoje credo. Że ja się wcale lepiej nie uczyłem i oni za te same odpowiedzi potem stawiali mi piątki. A przedtem jak mi czasem dali czwórkę, to uważali, że mi łaskę robią z tego powodu.

A przy okazji byłem personą wśród uczniów, bo byłem przewodniczącym szkolnego

klubu sportowego, a to wtedy się liczyło. Ja się każdego sportu czepiałem i w każdym coś znałem, ale osiągnięcia to miałem w boksie. Nawet prowadziłem [treningi], co też mi zlecił mój profesor od wychowania fizycznego, jako instruktor naszej drużyny bokserskiej. I poza lekcjami ja, jako chłopak normalnie prowadziłem z nimi treningi. A w wadze ciężkiej był taki, któremu sięgałem gdzieś do ramienia tylko, a trzeba go było ustawić i tej sztuki bokserskiej uczyć. Choć poza, oczywiście, profesorem od gimnastyki, czyli wychowania fizycznego, inni profesorowie nie bardzo byli zadowoleni z osiągnięć [sportowych], a przede wszystkim z osiągnięć w boksie. Dla nich boks to był gdzieś tam na przedmieściach, gdzie się tej pięści używa, a nie konkurencją na ringu. Więc z tym też były kłopoty, bo jak czasem zrzuciałem wagę i musiałem cały dzień gdzieś tam w łaźni przebywać, żeby tę wagę osiągnąć, bo na drugi dzień było ważenie, to profesorowie bardzo mieli za złe, a czasem może się to i na stopniach odbijało, że mnie nie było na lekcji.

Summa summarum, staszicowskie czasy wspominam bardzo dobrze, bo były wesołe, miałem wspaniałych kolegów. Właśnie nasz rocznik (19)51, bo w 1951 skończyliśmy maturę, założył stowarzyszenie staszicaków i dlatego jest w annałach historycznych Staszica ten nasz rocznik (19)51. Założycielami byli tak kolega Sikorski, który był nawet prorektorem Akademii Medycznej, Jasio Gliński, członek PAN-u i kilku kolegów z Akademii Rolniczej. W tej chwili w dalszym ciągu ten związek staszicaków istnieje i pracuje, wydaje co raz takie broszurki z życia staszicaków. Więc to życie było dość takie ciekawe, bo też byłem harcerzem „Błękitnej Jedyńki” która miała tradycje jeszcze przedwojenne, harcmistrzem był znany później geograf pan profesor Tadeusz Wilgat, profesor geografii na UMCS. On właśnie, jako jeszcze młody człowiek był harcmistrzem w naszej „Błękitnej Jedyńce” A potem to harcerstwo rozwiązali.

5. Związek Młodzieży Polskiej

Sprawa ZMP. Ja twierdzę, że dano młodzieży w tym czasie [bez. miała] bardzo duże prawa. Jak gdyby za duże. Zresztą może politykom na tym zależało, bo w tym czasie wrogiem tamtego ustroju nie wiem, dlaczego, ale była stara kadra nauczycielska. Młodzież za bardzo dochodziła do głosu, a że to był przeciwnik naturalny tej starej kadry, to bardzo często dochodziło do takich scysji między starymi profesorami, a młodzieżą. Z drugiej strony ten związek dużo robił dobrego, choć nikt teraz na nim suchej nitki nie zostawia. Na przykład ja byłem zetempowcem, to trzeba powiedzieć. [W szkole] rozliczało się uczniów w danej klasie i w zarządzie klasy. Nie gdzieś tam, tylko w zarządzie klasy. Dawało się dobrze uczącemu się uczniowi zadanie, żeby wyciągnął takiego złego ucznia z dwój i się go rozliczało z tego. I było na przykład takie zdarzenie z synem ówczesnego kuratora.

Na rok przed maturą wepchnął go do naszej klasy, to znaczy do Staszica, z innej szkoły, bo tam się bisurmanił. On się źle [uczył], miał złe wyniki i zaniżał nam wyniki klasy, bo to też była taka konkurencja. I mój kolega, dobry uczeń dostał zadanie,

żeby zająć się tą osobą. Był opiekunem, który miał mu pomagać w lekcjach. Ale po jakimś czasie rozliczamy to towarzystwo i okazuje się, że nie ma postępów żadnych. Więc mamy pretensję nie do tego syna kuratora, tylko do opiekuna. A on nam mówi, że całą niedzielę ganiał go po wszystkich zabawach szkolnych, jakie były w Lublinie, a on mu uciekał. Cały dzień zmarnował, sam się nie uczył, no i jego też nie. Traci czas, a ten nie chce [się uczyć], więc co ma robić? Dochodzi do tego, że ten syn kuratora nie chodzi do szkoły, przynosi zwolnienia lekarskie, ciągle zwolnienia lekarskie. Ale przypadkowo jeden z kolegów, syn lekarza zresztą, spojrzał na to zwolnienie i mówi, że to nie jest pieczętka lekarza, że pieczętki lekarskie są całkiem inne i jak w sam raz zna tę lekarkę.

My, młodzi lubimy pewne sprawy wyświeatlać do końca, więc interweniuujemy. Wysłaliśmy do tej lekarki dwójkę kolegów z tym zwolnieniem lekarskim i [pytaniem], czy to jest jej zwolnienie. A ona napisała oświadczenie, że ani podpis, ani pieczętka nie są jej, że to jest podrobienie. Summa summarum wyjaśniło się, że to było robione na takiej drukarence, gdzie były gumowe literki. Były takie zabawki, drukarenki, nawet sam miałem taką. Syn kuratora, przecież to nie nas, jako młodzież oszukiwał, tylko administrację. A jeszcze mało tego. Rozliczaliśmy drugiego kolegę, który nie był w ZMP i nie miał takich znajomości, nie miał ojca kuratora. I on nam zarzucił, powiedział wprost: „Mnie się czepiacie, a jemu nic nie zrobicie” Nas to [red. zdenerwowało]. Poszliśmy do dyrektora i powiedzieliśmy twardo, że jest wniosek, żeby go z naszej klasy zabrać, bo on jawnie oszukuje, za takie fałszerstwo to [inny] człowiek by siedział w więzieniu. Sprawa się wlokła, wlokła, pan kurator przyjechał do szkoły, a z uwagi na to, że chyba ja tam byłem główną sprężyną, wezwali mnie do dyrektora. Pan dyrektor wyszedł w tym czasie z gabinetu, ja zostałem sam na sam z panem kuratorem i pan kurator –a to było tuż przed maturą, palcem mi pogroził: „Tu mi kaktus wyrośnie, jak ty maturę zdasz” Pan kurator do mnie [tak powiedział] w cztery oczy. Mówi: „Hitlerowskie metody zastosowaliście do mojego syna, śledziliście go” Kumpel, który go gonił, to go śledził! Przygryzłem tylko wargi i wyszedłem. Miałem szczęście, że kuratora trzy miesiące później usunęli, tak, że ja się uratowałem. A tego syna zdążył jeszcze przenieść do innej szkoły, żeby skończył tam. Ale mogło być różnie.

6. Konflikt z dyrektorem szkoły

W ostatniej klasie mieliśmy propedeutykę filozofii, czyli logikę formalną. Nie była dla nas łatwa ta filozofia, te eulerowskie koła, ale tym, co lubili przedmioty ścisłe jakoś łatwiej to wchodziło w głowę i ja przypadkowo dostałem piątkę z tej [propedeutyki]. Zdarzyło się, że koło rodziców miało nam zrobić zabawę szkolną. Ale okazało się, że za tę zabawę trzeba płacić, a wtedy z każdym groszem człowiek się liczył. Myśmy nie mieli pieniędzy, po prostu. Ja na jakimś spotkaniu w klasie, kiedy nad tym radzili, stwierdziłem, że co to za zabawa, przecież my nie mamy pieniędzy, nie możemy zapłacić, to co nam ktoś łaskę robi. A miałem na pieńku w innych jeszcze sprawach z

dyrektorem, takim człowiekiem z awansu społecznego. On hołubił tych pierwszaków, a nie wiem, dlaczego nas, maturzystów, sekował. W każdym bądź razie, to była jego sprężyna prawdopodobnie, zrobił z tego aferę, że ja obraziłem przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. To była starsza pani, zresztą matka jednego z moich kolegów. Doszło do tego, że mnie wezwali na radę pedagogiczną, gdzie była także ta pani i jako jeden z punktów na tej radzie pedagogicznej było postawienie mojej sprawy, prawdopodobnie z wnioskiem o wydalenie mnie [ze szkoły] tuż przed maturą. I rzeczywiście, ja tam siedzę, dyrektor peroruje, że ja obraziłem tę panią i tak dalej i, że mam ją przeprosić.

Wtedy wstałem, bo też miałem [udzielony] głos i mówię, że przede wszystkim z tą panią nie raz współpracowałem –ona tak rzeczywiście kiwnęła głową, że się znamy –i chciałem powiedzieć, że nie mam, za co przeproszać, bo w żadnym wypadku ja tej pani nie obraziłem. Nie mogłem obrazić, dlatego, że nic do niej nie kierowałem i chciałem, żeby pani stwierdziła, czy jest obrażona. Ona wstaje, mówi: „O tym młodym człowieku zawsze miałam bardzo dobre zdanie” Zaczyna się konsternacja i wtedy podnosi rękę jak do odpowiedzi, bardzo też porządny człowiek, profesor Komorowski, uczący mnie logiki. Dyrektor udziela mu głosu, a on mówi tak: „Proszę państwa, dziś spotkała mnie największa przyjemność. Doszedłem do wniosku, że moje wysiłki wkładania [wiedzy] w mózgi tych młodych ludzi coś jednak dały. Bo ten tu młody człowiek w końcu skorzystał życiowo z mojej nauki logiki. Przecież logicznie tłumaczy, że jeżeli on tej pani nie obraził, to nie ma za co ją przeproszać” Zrobił się taki szum wśród tej rady i chwila ciszy. Dyrektor kazał mi wyjść z tej sali. Co się tam działo dalej, tego nie wiem, w każdym bądź razie mnie włos z głowy nie spadł. Tak, że uratował mnie profesor Komorowski –wspaniały człowiek, późniejszy wykładowca na wydziałach pedagogicznych –i logika formalna. A jak wredny był ten [dyrektor]!

To było jakieś trzy miesiące przed maturą, padał deszcz, czy śnieg, to nie były [obchody] rewolucji październikowej, ale coś takiego, jakaś uroczystość państwowa, gdzie wszystkie szkoły szły. Niby mieliśmy chodzić w czapkach, pomimo tego, że nie mieliśmy mundurków, jak było przed wojną, ale czapki niby były. Ja już wtedy nie miałem tej czapki szkolnej, miałem normalną cyklistówkę, inni też. A [dyrektor] mnie specjalnie zapytał: „Pyrz, natychmiast masz mieć szkolną czapkę” Mówię, że są trzy miesiące do matury, a ja nie mam pieniędzy na to, żeby wydawać na czapkę, która będę nosił trzy miesiące. A on mówi: „Jeżeli nie, to ja cię nie dopuszczę do matury” Taki szantaż. Wnioskował potem, żeby mi obniżyć stopień z zachowania. I prawdopodobnie miałbym na świadectwie maturalnym obniżony stopień, tylko ja miałem jakieś cholerne szczęście w życiu. Gdzieś miesiąc przed maturą przyszło takie rozporządzenie, że uczniowie z czwórką ze sprawowania nie będą do matury dopuszczeni. I on był w szachu, bo ze względu na inne przedmioty nie mógł mnie nie dopuścić. Inni profesorowie by go tam zadziobali. I z bólem serca musiał mi postawić piątkę. To znaczy nie on, ale rada. On już nie mógł przekonać rady, żeby mi postawić czwórkę. I to tylko za tego typu sprawy, kiedy albo broniłem kogoś, albo sam siebie

bronilem. U innych profesorów miałem bardzo dobrą opinię, zresztą twierdzę, że oni by mnie przed nim obronili. Taki był mściwy i ogólnie, według mnie, nieprzyjazny dla młodzieży. Są tacy czasem ludzie.

Potem w niesławnie jakoś odszedł, bo się nie nadawał. Ale to były takie czasy, że za jakieś tam zasługi, aby tylko kręgosłup [ideologiczny] miał właściwy, to go pchali na stanowisko. Jednak te staszicowskie czasy [wspominam] dobrze, tylko one były całkiem inne. Mnie by do głowy nie wpadło, że nauczyciela można przekupić. Mało tego –to samo było w szkole powszechnej, jak i średniej –u rodziców w domu nie można było powiedzieć, że profesor jest zły. Profesor jest bogiem, on wszystko wie i jest najmądrzejszy. Tak było stawiane w domu. Dziecko nie miało prawa krytykować [nauczyciela], zresztą mnie by to nawet do głowy nie przyszło. Nie tylko mnie. Profesorowie byli naprawdę szanowani, pomimo tego, że z perspektywy czasu [widzę, że] niektórzy może i nie zasłużyli na to. Ale wniosek jest jeden, że takich, co wymagali, ale sprawiedliwie wymagali, to się dłużej i lepiej pamięta. Te sprawy staszicowskie bardzo miłe wspominam i, kiedy po latach spotykaliśmy się z profesorami, to były bardzo miłe chwile.

7. Protesty młodzieży i strajki szkolne w 1947 roku

[W 1947 roku] były wybory i strajki [szkolne] bardziej łączyło się z wyborami. Wtedy czwórka była PSL-owska, to był PSL Mikołajczyka. Pamiętam, że te czwórki to chyba starsi koledzy nam dawali, a my lataliśmy z tym jak kot z pęcherzem i rozdawaliśmy. Po latach dowiedziałem się, że to były strajki szkolne, ale myśmy ganiali nie wiedząc, kto nas goni. Owszem, mówiło się tak: „Z przodu łąta, z tyłu łąta. To jest właśnie demokrata” Słowo „demokrata” było dla nas czymś nowym, takim obcym nawet. Przed wojną nie używało się słowa „demokrata” przynajmniej nie tak popularnie, jak potem. Potem za każdym słowem ta demokracja była. Czy myśmy to rozumieli? Ciągłe się mówiło, że Anders na białym koniu ma wrócić i każdy czekał. Ale też szło się naprzód, myśmy się uczyli, chcieliśmy coś zdobyć, a w związku z tym z czasem się już zapominało o tej głównej polityce.

W tych latach pamiętam jeszcze bardzo poważny konflikt między starymi profesorami, a młodzieżą, ZMP, które dochodziło do głosu, rządy tej młodzieży i walkę z kościołem. Najpierw było tak, że wszystkie szkoły zbierały się na placu Unii Litewskiej [Placu Litewskim] i parami szły do katedry. Profesorowie i wychowawcy sprawdzali [obecność], a księdzu trzeba było przynosić usprawiedliwienie, jeśli się nie było na mszy świętej. Potem ci sami profesorowie [zachowywali się] wprost przeciwnie –już nie wolno było chodzić do kościoła, ten, kto chodził był zły. Robiło się na przykład różne manewry, żeby młodzież gdzieś nie poszła, nie wzięła udziału. Pamiętam raz aż do Zemborzyc całą szkołę wywieźli, bo było Boże Ciało. Nota bene, na przekór temu wszystkiemu każdy potem na piechotę szedł pod katedrę. Tak to wcale by nie poszedł, ale wtedy z przekory szedł. Biskupem lubelskim był Wyszyński. Słuchałem jego kazań, były też ostre, mówił do nas tak: „Młodzieży, nie dajcie się na

tych śmietnikach komunistycznych wychować” Były takie ostre słowa. Potem już raczej dyplomatycznie się wyrażał, ale jeszcze, jako biskup lubelski na samym początku do młodzieży miał dość ostre przemówienia.

Oczywiście, myśmy wtedy sobie jeszcze nie zdawali sprawy [ze wszystkiego], zresztą młodzieży odpowiadały pewne hasła, także i takie, że nie zawsze kościół jest dobry, nie każdemu potrzebny i tak dalej. Z perspektywy czasu traktuję to normalnie, ale jak słyszę, że młodzież wraca do haseł faszystowskich, to to już jest makabra. To jest straszna rzecz dla mnie, który widziałem, jak się to rodziło i co z tego wyszło. Więc wtedy prawdopodobnie starsi koledzy świadomie to robili, ale ja byłem w drugiej klasie gimnazjum, to w polityce nie bardzo [się orientowałem]. Owszem, mnie to interesowało, chciałem być partyzantem, strasznie przeżywałem to, że nie byłem starszy, żebym mógł być partyzantem. Chciałem walczyć, wtedy główny przeciwnik to był dla mnie Niemiec, nie Rosjanie. O Rosjanach i o tym wszystkim człowiek się dowiedział później. Te nasze wolności początkowe po okupacji jednak były wolnościami. Taki zwykły człowiek, [zwykły] śmiertelnik nie bardzo odczuwał, że ktoś, jakiś cenzor ma łapę na prasie. Tym bardziej młody chłopak, dla którego to nie było poważne. A dla mnie, który widziałem zbrodnie niemieckie na własne oczy, najważniejszy wróg to był Niemiec. I dlatego polityka w tym czasie, przynajmniej dla mnie, była taką przygodą. A że się urwało ze szkoły i coś tam nosiło na przekór komuś. Ale, żebym ja to robił świadomie i politycznie i teraz pierś wypinał [do odznaczeń] –to nie. Nie będę wypinał piersi tam, gdzie, to [działanie] było całkiem nieświadome. Myśmy tak samo uciekali z tymi czwórkami, jak teraz młodzież ucieka na dzień wiosny. Chociaż niektórzy starsi uczniowie byli aresztowani, a przecież były jeszcze organizacje, które się wcale nie rozwiązały. Z kolei służby bezpieczeństwa miały przecież dokumenty.

Tu taka dygresyjka, co później działało się za tych stalinowskich czasów. Kolega na studiach, nota bene bardzo fajny gość, przyszedł z kawałem, że mamy nowe wędliny. A wędlin ani mięsa nie było w ogóle, myśmy bukiety warzywne jedli na obiad. A tu on mówi, że nowa wędlina się ukazała, pełno jej jest. Pytamy: „Jakiej” – „Nagie haki” Myśmy w tym czasie z Japonią, z Chinami dobrze żyli, Chiny nas miały uratować. To za to, za te „nagie haki” on znikł. Jak pytaliśmy, co się z nim dzieje i formalnie chcieliśmy się zwrócić do rektora, to odpowiedzieli nam: „Lepiej się nie interesujcie tą sprawą” Znikł, nie wiadomo, co się z stało. Od pewnego czasu nie przyszedł na wykłady i nikt nie mógł nam powiedzieć, co się z nim stało. Może wyjechał, nie wiem, ale z dnia na dzień nie było go już na wykładach.

Takie to były czasy. Zaraz po okupacji była reforma rolna. Myśmy wtedy byli z mamą sami, ojca nie było, jeszcze nie wrócił. W związku z dekretem nam się należała z reformy ziemia. Mama nas pyta, bo my mając kilkanaście lat byliśmy już prawie dorosłymi ludźmi, zarabialiśmy na życie, więc się nas radziła. Ale każdy z nas mówił tak: „Mamo, jak to –nie nasze i dadzą nam coś? Nie bierz, mamu” No, bo jak to? Przecież był jakiś właściciel, to jemu zabiorą, a nam dadzą? To, co to jest? Ale inni

ludzie wzięli, po latach sprzedawali i dobrze na tym wyszli. A kto teraz mówi, że z reformy rolnej coś odda? A przecież kupę ludzi dostało z reformy ziemię [za darmo]. I nic się nie mówi o reformie rolnej. Kamienice chcą odebrać, a o reformie cisza. Myśmy nie przyjęli tej reformy, [choć] nam się należała z dekretu, bo byliśmy pokrzywdzeni przez wojnę.

8. Chcieliśmy odbudowywać Polskę

Przy Staszycu była Błękitna Jedyńka, hufiec harcerek. Hufiec już był taką jednostką samodzielną, potem były drużyny i zastępy. A, że ten hufiec Błękitna Jedyńka był tu historycznie jeszcze sprzed wojny, to chyba dlatego został. Ale chyba tylko ze dwa lata [to trwało] i już [przedwojenne] harcerstwo znieśli, a wprowadzili właśnie to czerwone. Więc potem mnie już harcerstwo nie interesowało. Ale byłem zetempowcem, to jasno i wyraźnie mówię. Zresztą, do ZMP u nas nie należał tylko hrabia Grocholski Henio, [późniejszy] ksiądz [Leon] Pietroń i może ze dwóch, trzech ludzi. W każdym bądź razie to było pospolite, a teraz każdy albo się nie przyznaje, [albo] mówi, że on tak nienaumyślnie należał. Według mnie gros młodzieży, osiemdziesiąt procent młodzieży chciało jak najszybciej zdobyć zawód, odbudowywać Polskę. Trzeba powiedzieć, że wtedy była bieda, ale przecież było też coraz lepiej. A jaki był zapał, żeby odbudowywać Warszawę. Jak ja zobaczyłem w [19]45 Warszawę, przejeżdżałem przez ten słynny most pontonowy szukając ojca, to nie wierzyłem, że się gruz usunie z Warszawy, nie tam, że się odbuduje, że się gruz usunie. To było coś strasznego. To, jak się zaczęło potem odbudowywać, Trasa W-Z, MDM, to cieszyło. To nas młodych ludzi cieszyła każda taka zdobycz. Ale i myśmy zdobywali. Mała maturę, dużą maturę, rodzice moi mówili –to już chyba wystarczy. Na studia żeśmy poszli oni chyba nawet nie wiedzieli dokładnie, co to jest, gdzie my tam dalej idziemy, bo ta duża matura była dla nich już tym szczytem.

A myśmy wszyscy to zdobywali. I dlatego, z kim było wtedy walczyć? Ja uważałem, że my wspólnie walczymy o to i z tym, co jest. Zresztą, teraz to wszyscy cwaniacy są i [każdy] chciałby, żeby jego ojciec był albo przemysłowcem, albo dziedzicem. Zapomina, że jego ojciec był fornałem we dworze, czy biednym szewcem, a przecież ci ludzie biedni zdobywali coraz większe horyzonty sami i wchodzili w świat. Moja babcia do Lublina chodziła na piechotę dwadzieścia cztery kilometry z Piask. Tak to było. Byli ludzie w moim wieku, którzy w życiu morza nie widzieli. Teraz byle bąbel, a już był za granicą pięć razy. A przedtem wojewódzkiego by miasta nie widział. To były inne całkiem czasy. Czyli zdobywanie pewnego większego horyzontu, poznanie innych ludzi [powodowało], że inni ludzie ciebie zaczęli szanować, to już były duże zdobycze. I twierdze, że one są już w tej chwili, tej młodzieży nie do wytłumaczenia. I ja bym się nie starał nawet tłumaczyć, tylko chciałbym, żeby mieli świadomość, że tamci ludzie mieli takie, a nie inne warunki i dlatego tacy byli. Wielu chciałoby niby o tamtych czasach zapomnieć, ale przecież to jest nasza młodość, a młodość, jak by nie było, w najgorszych warunkach, zawsze jest najprzyjemniejsza.

9. Budynek szkoły Staszica –pierwsza siedziba Uniwersytetu Marii Curie - Skłodowskiej

Budynek Staszica wyglądał tak: w piwnicach były szatnie, stołówka i mieszkania woźnych. Pierwsze piętro –mówię o latach 50-tych –myśmy zajmowali i nasza była sala gimnastyczna. Natomiast od strony północnej, od strony [ulicy] Godebskiego była osobna klatka schodowa i całą górę i [obecną] aulę główną Staszica miał uniwersytet. To wszystko było uniwersytetu, chyba to była weterynaria. Na boisku od ulicy Godebskiego był cały rząd baraków i stajnia uniwersytecka, weterynaryjna. Leczone tam zwierzęta klinicznie i praktykowali tam studenci. Boisko było [przegrodzone] tylko barierką, więc jak myśmy korzystali z boiska, to piłka wpadała tam do koni. Tak to wyglądało w tym czasie. Powolutku potem zniesiono te baraki na boisku. Tyraliśmy całymi dniami, żeby to boisko wyrównać, ustawić bramki, kopaliśmy fundamenty, to znaczy wykop pod basen.

Po jakimś czasie zdobyliśmy aulę i już potem uczyłem się na górze. Czyli po jakimś czasie, to musiał być rok może czterdziesty dziewiąty, a może pięćdziesiąty, odzyskaliśmy górę. Aulę chyba jeszcze później, bo tak częściami uniwersytet nam to oddawał, [w miarę], jak się zaczynał rozbudowywać i przenosić. A tak to było nawet kratą odgródzone. Nie było naszego wyjścia na tamtą stronę. Między piwniczną klatką schodową, a tamtą [częścią] wyżej wszystko było odgródzone. Myśmy nie mieli ze studentami żadnego kontaktu. Styk mieliśmy na podwórzu, ale najczęściej studenci wychodzili od razu na Godebskiego.

10. Sport i kluby sportowe

To my zaczęliśmy budować basen przy Staszicu. Tyraliśmy, bo miał powstać w czynie społecznym. Nie wiem, czy potem jak zaczęli fachowy robić, to nie przenieśli go w inne miejsce, ale myśmy rozpoczęli. Pamiętam, że takim inicjatorem był profesor Kruszewski. To był prawdopodobnie były oficer, trochę też boksował w młodości i był przede wszystkim w boksie dobry. On właściwie mnie trenował, potem mnie zrobił instruktorem boksu szkolnego i to on był takim organizatorem tego wszystkiego. Pamiętam jak on tę młodzież zachęcał i myśmy bardzo dużo godzin przepracowali właśnie przy tych pracach, ziemnych przede wszystkim, na tym boisku. Gdzieś chyba mam zdjęcie, jak tam tyramy. Nie wiem, czy nawet w niedzielę nie chodziliśmy pracować i to naprawdę nie było dużego przymusu do tego, żebyśmy tam przychodzili. Szkoły były narybkiem dla klubów [sportowych], ale szkolne kluby były związane centralnie z MKS-em, to był Międzyszkolny Klub Sportowy z władzami przy kuratorium, czy wogóle przy inspektoratach. My stanowiliśmy narybek, ale jako takiego powiązania organizacyjnego nie było, a nawet było źle widziane. Natomiast jak już ktoś nosił znaczek Lublinianki, a było nas kilku –taki Tadzio Wiśniewski grał w piłkę nożną, Mrówczyński, ja –to prawie byliśmy głaskani po tym znaczku, to już było wyróżnienie. Ja trenowałem boks, byłem wtedy w wadze muszej w Lubliniance, to już

było coś. Ale to wszystko było przez szkołę nawet źle widziane. Nie wiem, jak było w innych szkołach, ale wydaje mi się, że tak samo. A już na pewno nie było żadnego porozumienia.

11. Spotkanie z Feliksem Stammem

Ojciec boks polskiego, wspaniały trener, wychowawca naszych olimpijczyków, którzy zdobywali medale, którzy byli słynni w całej Europie. Nawet Ruskich uczył boks. Stamm, Feliks Stamm. Stamm był jeszcze sławniejszy, jak Górski. Bo Górski był trenerem piłkarzy tylko w Polsce, a Stamm szkolił [bokserów] w prawie całych demoludach [tzw. kraje demokracji ludowej]. Stamm był bożyszczem. Trzeba powiedzieć, że boks wśród młodzieży bardzo często z łobuzów, chuliganów i czasem, bandytów –i tak jest w dalszym ciągu, nie tylko w Polsce, robi ludzi, którzy są przynajmniej, że tak powiem, ucywilizowani. I to ma boks za zadanie, żeby zamiast bić się na ulicy, bić się w rękawicach i według pewnych zasad. A jednocześnie w młodzieży wyrabia odwagę, także taką pewnością siebie, nie mówiąc już o ogólnej, fizycznej tężyznie. Stamm, jako bokser nie miał sukcesów, natomiast był wspaniałym szkoleniowcem, a przede wszystkim wspaniałym wychowawcą. On był takim prawdziwym ojcem tych młodych ludzi, z którymi się stykał. A człowiek był bardzo niepozorny. Niewysokiego wzrostu, gęba taka pospolita, włosy w nieładzie, zjeżone, wcale nie elegancko ubrany. Natomiast miał straszny mir u młodych ludzi. Właśnie tacy ulicznicy dostawali się w jego ręce, a potem oni, ci ulicznicy stawali się innymi ludźmi, wychowywali młodzież.

Ale przede wszystkim Stamm uczył wspaniałego boks. Myśmy kiedyś byli najlepsi w Europie. Stamm jeździł po Polsce i właśnie tam przede wszystkim w takich okęgach starał się jak najbardziej zbliżyć do dużych grup młodzieży, wychwytywać tam talenty, ale także uczyć instruktorów, trenerów. Pierwsze spotkanie, po klubach lubelskich [rozesłano] zawiadomienie, że na dwa tygodnie w ramach takiego właśnie szkolenia, a okręg lubelski był wtedy w boksie dość silny, przyjeżdża słynny Stamm, który przeprowadzi z tymi wyróżniającymi się juniorami szkolenie bokserskie. Więc z tego naszego MKS-u, a konkretnie z SKS-u [Szkolny Klub Sportowy] Staszica wytypowali nas dwóch na to spotkanie –mnie i kolegę. Wtedy główną salą gimnastyczną i [przeznaczoną] do takich imprez sportowych jak boks, siatkówka, koszykówka, była sala w Domu Żołnierza nad operetką. Jedyna taka. Później przystosowano tę starą halę handlową na Lubartowskiej, między innymi tam właśnie walczyłem, na tej hali. Więc godzina, załóżmy, siedemnasta, jest nas tam z pięćdziesięciu, może, takich łepków na tej sali, każdy wcześniej się porozbierał, rozdali nam piłki, ganiamy, krzyczymy, jak to młodzież. A na ławeczkach fińskich pod ścianą siedzi jakiś taki średni, może nawet powiedziałbym –starszy pan w takim niewybrednym sweterku, takim golfiku pod szyję czerwonym, trochę podniszczonym, włoski takie w nieładzie, myślę –chyba szatniarz. I krzyczymy dalej, pięćdziesięciu takich łepków gania na tej sali, ale każdy czeka, kiedy przyjdzie to bożyszcz, ten Stamm.

W pewnym momencie on gwizdnął. Gwizdał na zębach, ale tak donośnie i tak dziwnym przeraźliwym gwizdem, że każdy jak wryty stanął. A on od razu mówi: „Rzędem wkoło sali marsz” Od razu zaczął komendy podawać i każdy ni z tego ni z owego się podporządkował. Ja się do tej pory dziwię, co on miał w sobie. Wstał z tej ławki jakiś człowiek niepozorny i zdyscyplinował z pięćdziesięciu łobuzów. Potem oczywiście, przez cały trening jak nas tam było prawie z pięćdziesięciu, to do każdego [starał się] podejść, każdemu poprawić sylwetkę, w nos trzasnąć, bo się źle zasłaniał, czyli jak gdyby posparować i widać było, że ten człowiek naprawdę ma przede wszystkim taki wyjątkowy talent wychowawczy, ale też zna świetnie wszystkie zasady boksu. To już było dla mnie wyróżnienie, to pierwsze spotkanie ze Stammem. Ale przypadkowo miałem potem drugie spotkanie ze Stammem.

Minęło chyba dwa lata, byłem właśnie tym niepisanym instruktorem, kierownikiem sekcji bokserskiej, szkoliłem. I znów przyszło takie rozporządzenie, że przyjeżdża Stamm, ale teraz będzie szkolił z kolei trenerów i instruktorów bokserskich. To [szkolenie] miało być dwutygodniowe. I znów wytypowali nas dwóch. Teraz, jako instruktorów, bo ten [kolega] był moim pomocnikiem. Idziemy, patrzymy, a tam wszystko starzy trenerzy –Kowalczyk, Zieliński, z Gwardii, Lublinianki, no, starzy faceci. Przychodzi Stamm i mówi: „A wy, synunie, co tu robicie” My mu tłumaczymy, że nas wytypował szkolny klub, bo jesteśmy tam instruktorami. On na to mówi, że nie może nam żadnego zaświadczenia dać, bo nie jesteśmy dorośli, ale możemy się tak umówić, że jak chcemy, żeby nam się to w życiu przydało, to wyjątkowo możemy zostać. I my rzeczywiście przeszliśmy z tym moim kolegą dwa tygodnie szkolenia trenerów ze Stammem. To były stare chłopy, z doświadczeniem bokserskim, trenerzy poważnych klubów i nas dwóch młokosów. Im dał normalnie cyrografy, bardzo ważne dla nich. Przecież szkolenie Stamma to było coś. Nam nie dał żadnego zaświadczenia, ale rzeczywiście ładnie nas pożegnał. I to były takie dwa spotkania. Ludzie nie wierzą nawet, jak im opowiadam, bo dla ludzi mojego pokroju Stamm to jest świętość. To jest więcej niż Górski. Moja opinia to jest nic, ale on [otrzymał] nawet najwyższe odznaczenie państwowe, bo wychował całe tysiące młodych bokserów i wprowadził na dobrych ludzi. Tak, przyjemna sprawa wspominać.

12. Matura rocznik 1951

Przygotowywaliśmy się do matury z kolegą. Moją piętą achillesową były błędy ortograficzne, tego się najbardziej bałem, bo jeśli chodzi o wypowiedanie się, to tego bałem się mniej. W związku z tym przygotowaliśmy sobie własnoręcznie ściągawki, a konkretnie Oświecenie, bo tak wytypowaliśmy. Jak się potem okazało, na maturze był plan sześćioletni i to nasze oświecenie. I ja po prostu miałem w jednej kieszeni te kartki, wyciągałem, przepisywałem i do drugiej pchałem już zmięte. Napisałem to moje, przeze mnie opracowane oświecenie. Kolega podobnie. Inne [przedmioty] poszły mi jakoś tam gładko, bo pisemne były tylko z matematyki i polskiego, a pozostałe tylko ustne. Polonistą był wspaniały człowiek, profesor Grochowski,

nazywaliśmy go „Dziadek” Grochowski to był nauczyciel przedwojenny, który z Zegadłowiczem chodził do szkoły. Ja nie byłem nigdy z polskiego dobry, a jednocześnie nie bardzo chciało mi się robić notatek. Więc siedziałem w ławce, za mną siedział mój przyjaciel, Tomek i jeszcze jeden kolega. Oni mieli świetne notatki. Profesor Grochowski miał zawsze taki system –wchodził do klasy i zadawał kilka pytań z poprzedniej lekcji, z poprzedniego materiału. Po tych odpowiedziach notował wszystko w notesiku, stawiał jakieś stopnie i rozpoczynał wykład. A wykłady miał dość ciekawe, bo prowadził je jeszcze ze swoich notatek i z tej przedwojennej literatury, a nie z nowoczesnej. I, jak on zadawał te pytania, to oni we dwóch po tych swoich notatkach po tym zeszytce szurali, szukali tematu i już między sobą konsultowali. Ja nastawiałem ucho i zawsze wiedziałem. A, że nie zawsze byłem taki sforny, to profesor mnie wyrwał [do odpowiedzi], kilka razy się trafiło. Ale za każdym razem, jak mnie wyrwał, to ja wiedziałem, bo oni się w międzyczasie skonsultowali i ja to słyszałem.

Ale przyszedł taki czas, że profesor też zaczyna jakiś wykład, zadaje pytanie, pyta jednego –nie wie. Pyta drugiego –nie wie. Pyta trzeciego –nie wie. Mówi: „Może Pyrz powie” Ale oni też nic nie znaleźli i ja też nie wiem. Mówię: „Nie wiem, panie profesorze” A on okulary zdjął, mówi: „Co, i Pyrz nie wie” Więc to było już kuriozum, bo po pierwsze on chyba myślał, że ja jestem taki zdolny i wszystko wiem, a koledzy tak się zaczęli śmiać, bo wiedzieli przecież, skąd była ta moja wiedza. I ta rzecz miał jeszcze ciąg dalszy. Ciąg dalszy polegał na tym, że on między [egzaminem] ustnym, a pisemnym, po sprawdzeniu prac zrobił z nami takie spotkanie dla omówienia, taki miał zwyczaj. I już siedzimy w klasie, ten Tomek za mną, ja tak w pierwszym [rzędzie], pan Grochowski przede mną i w pewnym momencie zaczyna mówić tak: „Stary już jestem. Nie chcę być rzeźnikiem, ale przynajmniej siedmiu to powinienem oblać. Tylko nie chcę ich mieć na sumieniu na stare lata. Ale jak można być takim baranem, że jak jeden zrobi błąd, to siedmiu robi ten sam błąd” To byli ci, co pisali temat „Plan sześćioletni” To był słynny wtedy plan sześćioletni, a oni wszyscy ściągali z jakiejś broszury, która była wydana byle jak i byle jak napisana. I jak tam źle napisali, zamiast: „przyjaciół ludu” napisali „przyjacieli ludu” to wszyscy zrobili ten sam błąd. I on mówi: „Jak mogło siedmiu ten sam błąd zrobić? Co innego Pyrz. Ten podszedł indywidualnie” Jak usłyszał to Tomek, jak mi przyłożył w plecy, przecież on wiedział, nie wytrzymałem i na ławkę upadłem. A tu Grochowski siedział przede mną, mówi: „Pyrz, co się stało, zasłabłeś może” On myślał, że ja zemdlałem z wrażenia, nie widział, że ten mnie huknął w plecy, tylko widział, że ja padłem na ławkę. Wiec tak się to skończyło.

I rzeczywiście dostałem czwórkę na maturze, co do tej pory mi wypominają, a ja twierdzę, że zasłużyłem –spryt przecież też się liczy w życiu. Natomiast, jeżeli chodzi o [egzamin] ustny, to miałem dużo szczęścia. Bo na ustnym dostałem trzy pytania, z których na dwa odpowiedziałem bardzo dobrze, ale o trzecim nie miałem zielonego pojęcia, bo to trzecie było z nowej literatury. Nowa literatura była tak nudna i tak

niemiłosiernie nieciekawa, że to ciężko było czytać. To było, pamiętam jak dzisiaj, „Traktory zaorzą wiosnę” autora nie pamiętam [red. autor: Witold Zalewski], natomiast druga to była „Na budowie” Wilczka, ja ich w ogóle nie czytałem, wiedziałem tylko, że to są nowe powieści, które weszły do lektury szkolnej i po dwóch dobrych odpowiedziach, bo widziałem, że Grochowski kiwał głową, tak się cieszył, zaczynam to trzecie i tak na pewniaka niby, tłumaczę, że autor Wilczek w swojej powieści kontynuuje sprawy budownictwa socjalistycznego w Polsce, taką mowę-trawę. A jakby mnie zapytał choć o jedną osobę, to leżę, ale na tej podstawie [profesor] mówi: „Dobrze, nie kontynuuję. Dobrze, dziękuję. Piątka” I tak mi się udało. A z tej nowej literatury do tej pory zresztą nie znam tych powieści, bo prawdopodobnie to się już nie da czytać.

13. Bal maturalny

Najpierw była studniówka. Był wtedy taki zwyczaj, że przed studniówką cięto się czapkę w krzyż, a dziewczyny potem wyhaftowały te czapki. A jak ktoś nie miał dziewczyny, to tylko kolorową nitką cerował to tak na okrętkę. Ja miałem na okrętkę, nie miałem dziewczyny, co by chciała wyhaftować. Ale niektórzy to mieli pięknie wyhaftowane, to potem zostawało na całe życie. A bal maturalny był w czerwcu w noc świętego Jana. Ja mieszkalem wtedy w bursie powiatowej, krótko przed maturą chyba na dwa, czy trzy miesiące przenieśliem się do bursy, bo coś mi się nie podobało na stacji. I tam poznałem taką dziewczynkę, ona była w [liceum plastycznym], taka romantyczka trochę. Podobna była do [ulicy] Tadeusza Kościuszki, tak przynajmniej mi się wydawało. I ja się tu szykuje z nią na bal maturalny, nota bene jakiś chłopak się w niej kochał i czatował przy drzwiach, więc musieliśmy oknem wyskakiwać, żeby zmylić pogonię, a ona wymarzyła sobie, że jeszcze z koleżankami chciałyby pójść na Górę Sławinkowską. Tam teraz jest [Ogród Botaniczny], a przedtem tam był tylko park i w tym parku [chciała] szukać kwiatu paproci, bo to była noc świętojańska. Ona była romantyczna, choć to były całkiem inne czasy i, jak już tam jak się do ucha dziewczyny człowiek zbliżył z pocałunkiem, to było bardzo dużo. To była prawie świętość. I tak szedłem z nią, one tam śpiewały, a ja się spieszę, bo przecież koledzy tam czekają. Ale w końcu koło północy zjawiam się na balu, spóźniony. A tam trzymają dla mnie miejsce, między innymi ten Tomek i hrabia Grocholski Henio.

Oni już są trochę zachwiani, bo niby wódki tam nie było, ale coś tam w kielichach widzę, jest. I te dranie dali wina kieliszek i mówią: „Popij to kompotem” Ja tu zdenerwowany, siadłem przed chwilą, wypilem to wino, oni mi dają popić kompotem, więc ja chlast tak na odważnego ten kielich, a to taka wódka była obrzydliwa. Zakrztusiłem się. Mówię: „Boże drogi, a to łobuzy, dranie, tak mnie urządzili” Ale potem już było fajnie, jak już mi przeszło tośmy się bawili. Zresztą tylko ja byłem z tą dziewczyną, tak, że trochę odpoczywałem, bo mi tam ją podrywali. Tak, że ładnie przeszedł ten bal, poza tym, jak Tomek tak podprowadził z tym kielichem. [Bal] był na

auli, wtedy nic się nie działo poza szkołą, nie wolno było. Wszystko działo się w szkole. Przez długie lata wszystko się odbywało tylko w szkołach. A w każdym razie nie w lokalach, za to by nas profesorowie przeklęli. Kto to widział do lokalu! Nie wolno było chodzić do lokali, od tego trzeba było zacząć. Nie można było uczniowi pójść. Jakby profesor zobaczył ucznia w kawiarni, to byłoby to naganne. Takie były czasy.

14. Byliśmy nieletni, ale życiowo byliśmy dorosłymi ludźmi

[Warunki na stancji] były potworne. Ja mieszkałem na Skłodowskiej na przykład, gdzieś tam już w dół, jak dochodzi do Lipowej. W takiej półsuterenie u pani, której mąż był stróżem. Spałem na takim łożku polowym w kuchni i różnie tam było. Mieliśmy taką niby dobrą stancję na Godebskiego, u starszej pani, takiej przedwojennej. Pochodziła z rodziny, która się nazywała Polski i tak się szczyciła, że ona jest Polska. Ale straszna była jędza, dlatego się wyprowadziliśmy, bo już w końcówce to do swojego pokoju nie przechodziliśmy przez drzwi, tylko przez okno. Wychodziliśmy i wchodziliśmy przez okno, bo nam nie chciała drzwi otwierać. Wredna była taka. To ciężkie były czasy, rodzicom się nawet nie mówiło o tych trudnościach, to byłby nawet dyshonor, gdyby rodzice za dużo się nami interesowali, myśmy już byli dorosłymi ludźmi, przecież. Pomimo tego, że byliśmy nieletni, ale byliśmy życiowo dorosłymi ludźmi.

Na pewno [wojna na to wpłynęła]. Przecież, gdyby nie było wojny to ja bym nie handlował serem, nie miałbym stolika w środe, nie rozbierałbym pocisków, nie widziałbym trzech moich kolegów rozerwanych. Nie widziałbym zabijanych żydowskich dzieci, nie widziałbym mózgu, który się rusza jeszcze świeżo na chodniku i trupów tyle, co ja widziałem, ludzi uduszonych. Potem na studiach, to już całkowicie byliśmy odpowiedzialni. Już nawet rodzice traktowali nas, jako całkiem dorosłych ludzi i stanowiliśmy sami o sobie. Rodzice nam pomagali, ale tyle, co mogli. To była tego typu pomoc, że od czasu do czasu przysyłali nam paczki i tam był najczęściej smalec z cebulką. Teraz bym zjadł, ale wtedy już mi się trochę to nudziło. Od czasu do czasu był tam kawałek mięsa zatopiony, ale to nie zawsze. I oczywiście, co mogli, to ubierali. W czasach studenckich wiele razy pracowałem w porcie i to nocami, bo tam wtedy najbardziej potrzeba było ludzi do rozładunku wagonów. O wielu rzeczach rodzice nawet nie musieli wiedzieć, nawet się nie mówiło, niepotrzebnie ich się nie martwiło tym wszystkim. Ale to były czasy studenckie, było fajnie.

15. Studia na politechnice w Szczecinie

Nie chcę się chwalić, ale o mało, co nie byłbym dyplomatą. Tak. Była w Polsce zaraz po okupacji, właśnie do (19)51 roku, szkoła dyplomatyczna w Warszawie, jedyna taka trzyletnia szkoła dyplomatyczna. Po której moi koledzy, ci z poprzednich [roczników], byli na świetnych stanowiskach. Było tylko jedno miejsce [w tej szkole] dla naszego rocznika w Staszicu. Jedno miejsce. I ja te papiery dostałem do wypełnienia. I kiedy wysłałem już te papiery przyszła wiadomość, że nie ma naboru, jeszcze dwa roczniki

kończą, i dalszy nabór będzie po normalnych studiach z przeszkoleniem. A tę szkołę, jako taką szkołę wyższą, likwidują. I zostałem na lodzie. Ale miałem możliwość studiować w Warszawie.

Zacząłem dowiadywać się od kolegów, którzy studiowali na Politechnice w Warszawie, jak musieli jeździć tramwajami z miejsca na miejsce, bo to nie było w jednej [lokalizacji]. A znów dwóch moich kolegów, nie, nawet trzech, pojechało do Szczecina. To byli tacy przyjaciele moi, zresztą dwaj bokserzy, dwaj bracia. Pisali ciągle do mnie listy i opisywali Szczecin, jako naprawdę wspaniałe miejsce. I rzeczywiście tak było, byłem potem bardzo zadowolony. Po pierwsze w tym czasie Szczecin nie był jeszcze tak zaludniony. Nie był takim miastem gwarnym, takim obciążeniowym, zaśmieconym. Miasto trochę dziwnych ludzi, bo to była taka zbieranina najrozmaitszych ludzi.

Ale jeśli chodzi o akademickie sprawy, to tak: osiedle dla studentów prawie wszystkich uczelni było w starych niemieckich koszarach. Było trochę rozbite pociskami, też musieliśmy tam tyrać, odbudowywać. Akademia medyczna, jakaś [uczelnia] ekonomiczna i ta Wyższa Szkoła Inżynierska, to wszystko było w jednym akademiku, to taki był trójkąt, a zaraz, w granicach trzystu metrów były już budynki politechniki. Nigdzie się nie jeździło, okolice były piękne, jak się człowiek chciał gdzieś wypuścić kapać, czy na spacer. Ulice szerokie, Szczecin miał to, że linia tramwajowa biegła środkiem [jezdni], przy tym była aleja drzew, a po bokach jezdnie dość szerokie. Tak, że to takie wygodne było wszystko i te linie tramwajowe były dość dostępne wszędzie. Życie nie umierać. Poza tym, że daleko [od domu], bo osiemnaście godzin trzeba było jechać z Lublina przez Łódź. Przez Warszawę nie było wtedy połączenia tylko przez Łódź i to było uciążliwe. Ale jechało się dwa, trzy razy do roku, bo tylko na święta i na wakacje.

Studia były czteroletnie. Przede mną były tylko trzyletnie inżynierskie, nie było magisterskich. Jak ja kończyłem, to zaczęto robić magisterskie, ale w ten sposób, że albo się kończyło czteroletnie inżynierskie –i ja takie skończyłem, albo po trzech i pół roku przechodziło się do Warszawy lub do Gliwic i tam kończyło jeszcze półtora roku. Ale po pierwsze nas namawiali, żeby iść do przemysłu, bo przemysł czeka, afisze takie były, a z drugiej strony mnie zmusiły sprawy ekonomiczne. Potem w życiu miałem kilka okazji żeby dorobić [studia magisterskie], ale już się nie chciało, a nawet, mówiąc szczerze, moja praktyka, którą już wtedy miałem to była jak trzy uniwersytety, jak mnie tak rzucono na głęboką wodę. Tak, że nie było mi to do niczego potrzebne, żeby więcej się uczyć, może dla satysfakcji. Brat z kolei był po politechnice gdańskiej, ale też tym kursem czteroletnim, bo tylko takie były w tym czasie. Dokończył potem [studia magisterskie], bo był dyrektorem w Fabryce Maszyn Rolniczych w Lublinie, więc może właśnie dla prestiżu dostał stopień magistra.

16. Nakazy pracy

Kończę studia i są nakazy pracy. Przyjeżdżał przedstawiciel z ministerstwa i miał

gotowe blankiety nakazów pracy do poszczególnych przedsiębiorstw. Ale oczywiście nie na Szczecin. Miał także kilka ślepych blankietów, które nie miały wypisanego przedsiębiorstwa, o czym ja wiedziałem. I dlatego pojechałem i załatwiłem w tak zwanym ministerstwie maszynowym i w ministerstwie oświaty, żeby dostać nakaz pracy na Świdnik. Ja oczywiście trochę bujałem, że tam na mnie czekają, ale tak trzeba było. Powiedziałem, że już mam to załatwione i na moją odpowiedzialność wypisał mi [nakaz] – „A jaką stawkę” – „Najwyższą” Pamiętam jak dziś, 1240 złotych to była największa stawka dla młodego inżyniera. To było sporo.

I z tym pojechałem na zakład do Świdnika. Był ciepły fajny dzień, z Piask pojechałem rowerem. Zajeżdżam, a tam mi mówią, że nie ma przyjęć. Mówię: „Dla mnie nie ma przyjęć? Ja mam nakaz pracy” Oczekałem jeszcze dwa dni, pohulałem, pokąpałem się, bo wreszcie było ciepło i znów pojechałem do ministerstwa, ale wtedy już konkretnie do przełożonych WSK. To był chyba wiceminister do spraw właśnie tych zakładów lotniczych. Pojechałem do niego i o dziwo sekretarka mnie puściła, wtedy trochę inaczej załatwiano ludzi. Wtedy mówiło się do ministra „towarzyszu” więc ja mu mówię: „Towarzyszu ministrze, mam nakaz pracy, jako inżynier.

Mówili mi ciągle, że czeka na mnie przemysł. Ja zajeżdżam do zakładu, a tam mówią, że nie przyjmują teraz. Co znaczy, że nie przyjmują, jak ja mam nakaz” On mówi: „Poczekajcie, kolego w sekretariacie” Oni mieli tak zwane specjalne połączenie po linii wysokiego napięcia. I on tą specjalną linią łączy się z dyrektorem WSK, jakieś inne jeszcze sprawy miał, a na koniec mówi: „Słuchajcie, tutaj młody inżynier, nazwisko Pyrz, czeka u mnie. Ma nakaz pracy, a podobno ktoś u was powiedział, że nie przyjmujecie. Proszę to załatwić, dyrektorze” A do mnie: „Życzę dobrej pracy” Podał mi rękę. Pojechałem, ale jeszcze sobie zrobiłem kilka dni urlopu na to konto. Tak, że to było chyba ze dwa tygodnie. Jak zajeżdżałem na zakład, szybko mnie załatwili i od pierwszego zapłacili pensję. Od pierwszego, pomimo tego, że ja się do nich dwa tygodnie później zgłosiłem. I miałem pracę.

17. Początki pracy w WSK Świdnik

Zacząłem pracować w sekcji konstrukcyjnej narzędzi. Najpierw, jako normalny konstruktor, potem, jako kierownik sekcji, jako że koledzy doszli [do wniosku], żeby mnie zrobić kierownikiem i nawet sam kierownik tej sekcji poszedł do dyrektora. Po jakimś czasie dyrektor zaproponował mi [awans] i zrobił mnie pracownikiem i jednocześnie kierownikiem –bo to był [zespół] jednoosobowy –do spraw postępu technicznego. Rzecz polegała na tym, że się ciągle pisało plany i potem trzeba było z tych planów robić sprawozdania, a w praktyce nie zawsze tak było. Mnie to po pewnym czasie znudziło, aż w końcu któregoś dnia z nudów usnąłem w pracy. [Wtedy] poszedłem powiedzieć, że jak mnie nie przeniosą na produkcję, to ja, się zwalniam. Dyrektor, mój zwierzchnik bardzo się temu dziwił, pomimo tego w końcu przenieśli mnie na wydział motocyklowy.

Tam byłem zastępcą do spraw technologicznych. Uruchamialiśmy wtedy [produkcje]

tego motocykla. Już wtedy była taśma, już schodziły dość duże serie, ale i kłopoty były duże. Bo to była dziwna sprawa. Był motocykl, była za niego cena, tylko tego motocykla nikt nie mógł kupić. Bo wszystko było na przydziały. A jak się potem sprzedawało poza przydziałem, to kosztował trzy razy tyle. Już nie mówiąc o tym, że jak koledzy w materiałównie złośliwie podliczyli, gdyby sprzedać same materiały, części, które weszły do tego motocykla, bez wykonawstwa, to byłyby droższe, niż motocykl. Niż cena gotowego motocykla. Tak im wyszło w wyliczeniach. Takie były dziwolągi wtedy. Ceny były po prostu [odgórnie] ustalane, a nie wyliczane. Tych motocykli produkowało się dość dużo, ale głównie były na przydziały dla przodowników pracy. Taki zwykły śmiertelnik –mówię o początkach [produkcji] –nie mógł go kupić. Potem już tak.

Praca była ciekawa. Świdnik był dosyć dobrze zorganizowany, wprowadzie na [zasadach] organizacji zakładów w Związku Radzieckim, ale w każdym bądź razie był bardzo uporządkowany i duża była dyscyplina pracy. Nie było mowy o spóźnieniach do pracy. Zamykali bramę o godzinie siódmej i nie da rady, już się nie weszło, bo brama była zamknięta. Wychodziło się za przepustkami, ale żeby tę przepustkę zdobyć to musiał ją podpisać majster, potem kierownik. Od kierownika się szło do kadr. A potem jeszcze do dyrektora, który zatwierdzał przepustkę na wyjście z zakładu w godzinach pracy. A trzeba było mieć jeszcze poważny argument, żeby można było wyjść. Tak, że była dyscyplina, tak. Ale mało tego. Ówczesnego dyrektora nazywano „Krwawy Oleś” nie będę używał nazwisk, bo potem bardzo dobrze z nim żyłem, współpracowaliśmy już na innej stopie trochę, bo i ja byłem dyrektorem, przyjeżdżał do mnie, gościłem go u siebie. On potrafił przejść przez zakład i dwóch kierowników z mety zwolnić, już nie pracowali, jako kierownicy, jak on wrócił do swojego biura, bo za nim szli kadrowcy i od razu pisali wypowiedzenie. Tak było.

Ale kiedyś podszedł do takiego starego robotnika, majstra i dawał mu jakieś polecenia, a on tak mówi: „Dobrze, dobrze, panie dyrektorze. Panie dyrektorze, muszę panu powiedzieć, że jestem zdyscyplinowanym i karnym pracownikiem. Jakby pan dyrektor kazał mi skoczyć z dachu, z tej hali na dół, ja bym skoczył. Połamałbym ręce, nogi, ale skoczyłbym. Ale niech pan wybaczy, gdyby mi pan z ziemi kazał skoczyć na tę halę, nie skoczę” I nic mu nie zrobił dyrektor za to, uśmiechnął się [red. tylko]. Innego przy tej sytuacji by zdjął. Drugi raz też do takiego starego fachmana podszedł i też mu tam coś gadał. To ten mu odpowiedział w ten sposób: „Panie dyrektorze, przecież melodię, którą gra orkiestra symfoniczna może zagrać jeden muzykant, tylko to jest nie to samo” Starsi ludzie mają bardzo często takie [trafne] powiedzenia, a przecież na pewno nie wyczytali ich z książek.

18. Przedwojenni fachowcy i partacze

Tam właśnie stykałem się z ludźmi, którzy jeszcze przed wojną pracowali w zakładach lotniczych, bo przecież w Lublinie była [fabryka] Plagego-Laśkiewicza, a w

Białej Podlaskiej były państwowe zakłady lotnicze. Niektórzy mówią, że w UB mieli listy pracowników, szukali ich po Polsce i prawie na siłę ściągali. Ale twierdzą, że wielu z nich normalnie było ściągniętych do zakładów polubownie. I oni stanowili pewien taki trzon, ale jednocześnie pewien przykład. Ale jak wszędzie, zdarzały się wypadki, że byli ludzie nieuczciwi. Młodzi czasem byli bardzo nieuczciwi i partaczyli robotę.

Tu taki fakt. W ten nasz motocykl WSK wchodziły cztery miski w układzie kierowniczym. Te miski to były takie talerzyki pod łożysko kulkowe. Czyli na górze tulei był górny talerzyk, dolny talerzyk, w środku kulki i w tym chodziła kierownica. Jeżeli dziennie robiło się tysiąc motocykli, a na każdy motocykl wchodziło cztery miski, to tych misek były dziesiątki tysięcy na miesiąc. A części motocyklowych było [mnóstwo]. W związku z tym technolodzy opracowali taki sposób, że robotę już się rozliczało na produkcji, jak robotnik zdawał, czy dostawał robotę, nie licząc, bo to, kto by to liczył ciągle. Był pojemnik konkretnie na ten detal, oznakowany i tak dopasowany, że jeżeli był wypełniony, to mieściło tam ułożone w stosy, założmy, tysiąc sztuk. I pojemnikami się rozliczało. Operacji było kupę, zaczynało się najpierw od wyciskania na prasie takich kształtek, potem toczenia, potem było hartowanie i na końcu szlifowanie pod kulki tych bieżni. I już potem szło to na montaż, cała taka skrzynka. Kiedyś taka skrzynka dostała się na montaż. Montują. Zdjęli pierwszą warstwę, drugą warstwę –tych warstw było z dziesięć –a pod spodem są warstwy w ogóle nieszlifowane. A rozliczone, jako szlifowane. Szlifierzy było z dziesięciu, bo było z dziesięć szlifierek. Który? Cholera go wie, ale któryś taką fuchę puścił. Zrobił tylko dwa rzędy górne, a pieniądze wziął za całość. Oczywiście, dochodzenie.

U nas w zakładzie było jeszcze UB, komórka bezpieczeństwa, bo to był wojskowy zakład. Więc zaczęli tam niuchać, szukać. Ale co tam, wśród braci robotniczej zawsze sztama, jak znajdą jakiegoś kapusia, to go zaraz wykończą. Więc pokazali ten pojemnik i kazali prawie całej załodze oglądać. I przychodzili ci starzy robotnicy przedwojenni. I oni oryginalnie pluli i mówili: „A, żeby mu ręce uschły” „Jak mógł” To znaczy, to było niehonor dla przedwojennego robotnika, fachowca, żeby coś takiego zrobił. Im się nawet w głowach nie mieściło, że można coś takiego zrobić. Oni oryginalnie się oburzali na to. I to tkwiło w tych ludziach, czyli przedwojennych fachowcach, jakaś taka ambicja tego fachu, który sprawowali, już nie mówiąc o tym, że i dyscyplina. Bo jeżeli on był w cechu, a cech by coś takiego u niego zauważył, to by go wyrzucił i nigdzie by roboty by nie dostał. U nich była dyscyplina i jednocześnie jak gdyby pewien szacunek do pracy. To było widać. A potem to się wszystko popsulo. Potem to człowiek tylko musiał lepiej pilnować i od czasu do czasu złapał takich, bo już się ich znało. I, niestety, ale trzeba było wyrzucić z roboty, bo taki tylko psuł innych. Mało tego, robił krzywdę innym, bo potem posądzali wszystkich, nawet uczciwych, były takie wypadki.

Był pewien trzon fachowców właśnie z tych przemysłów związanych kiedyś z Lublinem i w ogóle z tym terenem, a przede wszystkim zakładów lotniczych. To była

niewielka grupa ludzi, ale najbardziej w przemyśle lotniczym doświadczona. Było także dużo ludzi przyjezdnych, to znaczy z obcych terenów. Dyrektorzy na ogół byli spoza Lublina i oni byli tak trochę naznaczani z góry, przynajmniej za moich czasów. Natomiast powiedzmy, jasno i wyraźnie, że siedemdziesiąt procent to było chłoporobotników. Chłoporobotników, którzy bardzo często dopiero uczyli się zawodu. Zakład pracy był zainteresowany, żeby szkolić ludzi. Ciągłe były szkolenia, ale nie zawsze dobrze im to szkolenie szło, wielu było kiepskich [pracowników], ale ludzi nie było. I stąd czasem odbijało się to na jakości.

Na przykład był taki wypadek. W instalacji tlenowej w samolocie, która przecież bardzo często [decyduje] o życiu człowieka, był taki wiercony detal, który łączył rurki. [Robotnikowi] złamało się wiertło, a on zostawił je w środku i puścił detal jak gdyby był dobry. To jest niemożliwe, że on nie wiedział, że mu się wiertło złamało, bo już drugiego detalu złamanym wiertłem nie zrobił, czyli celowo, a bezmyślnie to wiertło zostawił. Mógł tym narazić na śmierć lotnika, mogło dojść potem do jakiejś poważnej usterki, awarii. Tego by nigdy nie zrobił zwykły, uczciwy człowiek. Ale tacy to [pracownicy] byli w tym czasie, a twierdzą, że i teraz są tacy.

19. Warunki pracy w WSK

[Do pracy] jeździliśmy autobusem, a bardzo często, jak nie było autobusu, bo to był stary samochód i się psuł, to i samochodem ciężarowym, oplanowanym z ławkami. O tyle było dobrze, że jak samochód nie przyjechał, to byliśmy usprawiedliwieni. Wtedy żeśmy szli najczęściej do knajpy. Czekaliśmy na przystanku, to była grupa około trzydziestu ludzi, bo i spawacze byli i panie z księgowości, kilku inżynierów. Jak nie było go gdzieś do godziny dwunastej, to wtedy było już wolne, do domu nie warto było już iść, bo za wcześnie, to się wtedy szło do knajpki na rogu.

[Pracowników WSK] to trzeba liczyć na tysiące, jak wyszli [z zakładu] to był tłum. Wtedy to był jeden z największych zakładów w Lubelszczyźnie, FSC powstało dopiero później, a potem powstały Kraśnik i Poniatowa. Ale WSK został jednym z największych zakładów. On powstał w zasadzie na urządzeniach lotniska, które było budowane w (19)39 roku, jako takie wojskowe lotnisko zapasowe. Potem, jak Niemcy wypowiedzieli wojnę Związkowi Radzieckiemu, to stamtąd były naloty. W Piaskach, w czasie okupacji, jak byliśmy chłopcami, to leżeliśmy po kąpieniu na grobli i liczyliśmy, ile [red. samolotów] wychodzi, a ile wraca. Bo tamtędy przelatywały całe eskadry. Było widać i można było policzyć te bombowce, które szły na Związek Radziecki i potem jak wracały. Zawsze ich kilka brakowało. Cieszyliśmy się z tego.

[Pracowaliśmy] normalnie osiem godzin, w zasadzie były tylko wydziały dwuzmianowe i trzymianowe, bo niektóre były ciągłe, jak galwanizernia, czy kotłownia, ale ogólnie to osiem godzin było wymagane. Godziny nadliczbowe były płatne i była co do tego w tym czasie surowa dyscyplina. Nikt nikogo nie wykorzystywał, to była święta sprawa. Oczywiście w soboty pracowało się krócej, tylko sześć godzin, co było atrakcją wtedy. I niedziele były wolne. To znaczy, jeżeli

ktos pracował w niedzielę, to wtedy faktycznie dostawał podwójną stawkę. I wtedy się tego przestrzegano. Raczej nie odpracowywało się, wtedy nie było takiej dowolności i pod tym względem to było bardzo ściśle rozliczanie. Natomiast muszę powiedzieć o stawkach, o pieniądzach, bo to też jest ważne.

Więc na początku jak pracowałem na [wydziale] motocyklowym, to rzeczywiście dostawałem pensję 1240 złotych, lecz miałem do tego premię B, a były premie A, B i C. Moja premia polegała na tym, że, jeżeli na 100% wykonało się plan, to się dostawało jako premię 75% [pensji], czyli do 1240 złotych dostawało się 75% [tej kwoty] dodatkowo. Ale jeżeli się zrobiło już 1% ponad 100 %, to dostawało się 7,5% więcej. Tam się dostawało 75%, a tu 7,5%. Opłacało się zrobić tylko 120%, dlaczego? Bo potem była progresja w podatku, a w związku z tym na ogół się wykonywało te 120% i nie przekraczało. Zawsze były księgowo od tego, żeby to wyliczyć na wydziale. I co to dawało –pensja, 75% pensji za sto procent, za [kolejnej] 10% [wykonania planu] następne 75%. Za następne 10% znowu 75%. Czyli pensja plus trzy razy po 75%, tak? Czyli wychodzi 225% procent pensji plus pensja. Kont wtedy nie było, tylko brało się normalnie w kasie pieniądze w rękę i koniec. I portfeli za dużo też się nie miało. Ja miałem wtedy taką dyplomatkę fajną i najczęściej forszę wkładałem w tę dyplomatkę. Potem przychodziłem do domu, sięgałem i tyle, co tam wzięłem, zostawiałem mamie na życie, a resztę zostawiałem sobie. Z tej reszty oczywiście kupowałem sobie różne rzeczy, bo studia dosłownie skończyłem z jedną parą butów, jedną para spodni i dość ładną marynarką.

I w przeciągu kilku miesięcy tej pracy w WSK, ubrałem się wspaniale. Pamiętam, że były modne granatowe [płaszczki] z flauszu, dyplomatki to się nazywało, takie trochę dłuższe, rozkloszowane od pasa, z takimi długimi wyłogami. Buty robiłem sobie u Bogusława na Zamojskiej w Lublinie. Miałem tam u niego swoje własne kopyto. Tak, bo jak on brał miarę nogi to [mierzył] przynajmniej w dziesięciu miejscach. I na normalne kopyto, na którym ten but robił, potem według tych swoich miar nabijał najrozmaitsze takie wstawki, że to kopyto wyglądało tak łaciato, bo było ponabijane wszędzie. Ono było już podpisane moim nazwiskiem i było w archiwum. A jak się ten but włożyło, to on był tak do nogi dopasowany, że nie miał ani jednej zmarszczki, pomimo tego, że się w nim chodziło. Ale także nigdzie nie gniótł. Wtedy były modne takie buty, które miały dość grubą podeszwę i jeszcze były szyte białą nitką, a ta skóra tutaj i ta wykładzina środkowa była taka miękka, taka delikatna, ale mocna. Ja to tak dla przykładu daję, że ja w przeciągu roku [kupiłem] dwa garnitury i to z bielskiej wyciskanej wełny. Była taka, dużo kosztowała, ale można było ją kupić. Nazywali to „angielskie wełny” bo myśmy od przed wojny robili na eksport te bielskie wełny. Bielsko –iała to produkowała.

Potem z kolei nastąpiła regulacja i wtedy dali nam dopiero po kości. Pamiętam jak dzisiaj, że z tego wszystkiego dostałem 2400 złotych, a premii prawie już żadnej nie było. A [przedtem] było prawie dwa razy tyle, niż to, co po tej regulacji wyszło. Niby mieli wyregulować jakąś tam średnią, ale wtedy to już się o wiele gorzej zarabiano. A

dlaczego odszedłem ze Świdnika? Chodziło mi przede wszystkim o mieszkanie, a druga sprawa, to mną trochę kierowało to, żebym nie miał za dużo kierowników nad sobą. Bo tam tak szczerbłowo, to człowiek był daleko. Chciałem być tak bardziej samodzielny. I kwestia mieszkania, już jak odchodziłem, dyrektor mi mówi: „Panie inżynierze, a jakby pan stawiał sprawę wcześniej, to by się coś załatwiło” Ale, jak ja mówiłem wcześniej to nikt nie chciał słuchać. – „Teraz to już za późno” mówię. Jednak ostatecznie to wyszło z tego, że namówił mnie kolega, w zasadzie z bratem studiował, ale bardzo często żeśmy się spotykali i był takim moim przyjacielem. Kolega był w Zjednoczeniu Przemysłu Mięsnego [w Zamościu w zakładzie] aresztowali głównego mechanika, bo jakieś szwindle były, zresztą bałagan był jak cholera. I ten kolega mnie tak namówił. Mówi: „Bogdan, idź tam. Trzeba zrobić porządek, bo tam faceta zamknęli, a za rok czasu albo wcześniej to tam będziesz miał mieszkanie” No i rzeczywiście, pensja w tym czasie była niezła, a żarcia [mnóstwo]. Ale z tym żarciem to było różnie, ja jeszcze przez rok czasu nosiłem sobie kanapki do zakładu na śniadanie, bo nie mogłem patrzeć na to mięso.

20. Getto w Piaskach

Getto w Piaskach było, według mnie, takie dość sławne o tyle, że tam nie tylko ginęli Żydzi z Piask, ale na przykład i czescy Żydzi, węgierscy, a także podobno austriaccy, bo różnie różni [badacze] podają. Ale na pewno było tam wielu Żydów z państw europejskich, którzy w końcówce jak gdyby tego działania, byli przeznaczeni już prawdopodobnie tylko na stracenie. Getto zajmowało dość duży obszar, bo w granicach może jakiejś jednej trzeciej Piask. Było po obydwóch stronach ulicy i było ogrodzone dość wysokim płotem dookoła. Pilnowała go w zasadzie granatowa policja i też chyba ta żydowska policja pilnowała wewnątrz. Ale co tam było wewnątrz to ja przynajmniej nie bardzo wiedziałem, ale byli ludzie, którzy wiedzieli.

Ojciec mój by na pewno więcej powiedział, bo jako listonosz wchodził do getta, ale mówiąc szczerze nie rozmawialiśmy na tyle, żebym jakieś szczegóły miał w pamięci. Po pewnym czasie getto się uszczuplało. Najpierw trochę wzdłuż je skracali, bo wywozili Żydów, coraz ich było mniej, potem [zostało] już tylko po jednej stronie. I taki szczegół jeszcze. To główne jak gdyby getto, te ich wszystkie główne urzędy, były po prawej stronie, jadąc w stronę Zamościa. Więc były godziny otwarcia bram, żeby ludzie mogli przechodzić przez ulicę. Wtedy granatowi i ich ta policja pilnowali ich, żeby tam gdzieś nie uciekali, mogli tylko przechodzić z jednej strony jezdni na drugą. Były tylko [wyznaczone] godziny otwarcia bram, a tak to bramy były zamknięte, pomimo tego, że czasem rodziny były podzielone i ktoś, założmy, mieszkał po tej, [a ktoś inny] po drugiej stronie. W końcówce czterdziestego trzeciego roku zaczęli ich likwidować, tych Żydów, co zostali w getcie. Wielu ich wywozili do Trawniki, a tam stamtąd szły transporty –z tego, co piszą –i na Bełżec, i na Sobibór. I tam ich kończyli. A niektórych kończyli w Piaskach, bo tam przecież kilka tysięcy wybili. Mówią, że koło dwóch tysięcy, ale mnie się wydaje, że więcej wybili w Piaskach.

Partiami ich prowadzili. [Pamiętam] takie epizody, które są straszne i jeden, może najstraszniejszy. Zawsze, jak coś się działo na ulicy, to mama mówiła „Idźcie, chłopcy, zobaczcie, co się dzieje” bo może trzeba uciekać, czy kryć się, czy coś. Oczywiście ojca już wtedy nie było, wszystko było pod opieką mamy. Ale to myśmy byli jednocześnie tymi obrońcami. Wychodzę przed dom i widzę taką scenę –idzie miejscowy żandarm, inteligentny człowiek w binoklach, w rękawiczkach skórzanych było dość ciepło jakoś tak latem. Za nim jedzie furmanka znaczy taka platforma, ale te deski ma takie skośne i na gumowych kołach. Powozi nią jakiś Polak. A za nimi idą dorośli Żydzi i tak –jeden niesie małe dziecko w jakimś beciku, drugi na ręku niesie, trzeci prowadzi za rączkę. O ile pamiętam to może było piętnaścioro, może więcej tych dzieci. Taki szereg. I tak sobie dumam, gdzie oni idą, więc poszedłem za nimi. Nasze mieszkanie było tak w środku Piask. Tu z kolei zaraz po drugiej stronie był urząd gminy i areszt, ale dwa, czy trzy zabudowania za nami już była droga, która szła w pola i dochodziła do kirkutu. Oni tak szli i skręcili jednak w tę drogę tutaj jak do kirkutu. Ja zaszedłem z [red. z drugiej] strony za budynek i zacząłem wyglądać, co oni tam będą robić. Ten szwab dosłownie tylko zjechał z tej głównej drogi z tą całą swoją kolumną, furmankę ustawił przy sobie. Tych Żydów ustawił w kolejce i wyjął osobistą parabelkę. Łapał te dzieci za nóżki, strzelał w głowę, i rzucał na furę. Jak ja to zobaczyłem, zacząłem wymiotować. Nigdy w życiu mamie o tym nie powiedziałem. I on wybił wszystkie te dzieci. Miejscowy żandarm, którego nazwisko znam, którego widziałem, jak gra na fortepianie. On strzelał. Ja bym królika nie zabił tak, jak on zabijał te dzieci.

Któregoś dnia z kolei przyprowadzili Żydów, to nie byli piaseccy Żydzi, to musieli być gdzieś Żydzi z terenu. Przy tej gminie, czyli po drugiej stronie naszego domu, była tak zwana koza, przedwojenny areszt. To był od przed wojny taki gminny areszt, gdzie pijaków wkładali, jak [rozrabiali]. I oni przyszli, trzech czy czterech żandarmów było, jeden chyba tylko był miejscowy, a reszta obcy. A może tych żandarmów nawet było więcej. Tam, w takim korytarzyku zaraz przy drzwiach do aresztu, mieszkała woźna. Oni wzięli klucze, otworzyli i zaczęli po niemiecku, systematycznie ustawiać tych Żydów w tej salce aresztu. Część [pomieszczenia] to była prycza taka od ściany do ściany, co polegało na tym, że to były tam deski na podwyższeniu, nic więcej. To ich naustawiali na stojąco na tej pryczy. Potem ciało przy ciele, obłożyli tak cały ten areszt, ale przy drzwiach jeszcze była grupa Żydów. To naparło ich czterech, czy może ich tam więcej było i tak napierali, tak doparli, że upchnęli tych wszystkich Żydów tam w środku i zamknęli. Drzwi w tym areszcie były takie ze sztabą grubą. Zamknęli, klucz wzięli i poszli, bo ich posterunek był tam gdzieś czterysta metrów dalej w mieście. Jęk był całą noc, nie dał spać, pomimo tego, że myśmy byli przynajmniej dwieście metrów dalej, bo to było po drugiej stronie ulicy, a dom nasz był oddalony.

Na tym gminnym placu, gdzie areszt, była także studnia, z której czerpaliśmy wodę. To była jedyna studnia na pompę, bo gdzie indziej były takie studnie na wiadro i na

korbę. Ale tu była dobra woda i myśmy ją stąd czerpali i nosili do domu. Poszedłem niby do tej studni, ale tak naprawdę zobaczyć, co się dzieje. Tam była krata i taka zasłona trochę odsunięta na te kraty, bo jak się ktoś awantuował, to ją zasłaniano. To stamtąd przez tę kratę leciała piana. Jak się koń wyścigowy spoci, to takie płaty piany z niego lecą. To tak leciało przez okno z tego aresztu. Piana. Ci ludzie tam jęczeli, to był jeden potworny jęk. Podobno dawali złoto za butelkę wody. I niektórzy podobno im dawali. Podobno za wódkę dawali jeszcze więcej. Ja tego nie widziałem, tylko słyszałem. Ale to, co mówię o tej pianie i o tych jękach, to sam widziałem. Ci [żandarmi] przyszli dopiero gdzieś koło dziesiątej w dzień. Jak potem ich wyprowadzili –to też widziałem –to chyba ze sześciu, czy siedmiu, bo tak na kupkę ich złożyli, już nie żyło. Dwóch dobili, bo nie mogli iść, a resztę poprowadzili na ten kierunek i też rozstrzelali wszystkich. To jest drugi obrazek.

I trzeci obrazek. Na część tej likwidacji, prawdopodobnie specjalnie, byli [sprowadzeni] też Ukraińcy w czarnych mundurach. Ich nazywali: własowcy, jak potem się okazało, to nie byli własowcy, bo ich dowódca, to nie był Własow, tylko jakiś inny, ale to nieważne, nazywaliśmy ich własowcy. To byli Ukraińcy uzbrojeni dla Niemców, [walczący] po stronie Niemców. Mieszkali w szkole. Ich dowódca, myśmy go nazywali Miotiłka, ale czy on się tak nazywał, to nie wiem, dobrze strzelał. Miał taka luśnię, prawdopodobnie był myśliwym, bo świetnie strzelał. I oni byli także w obstawie, jak prowadzili Żydów z getta na rozstrzelanie, oni chyba też rozstrzelali. Tego to nie bardzo pamiętam, ale prawdopodobnie rozstrzelali. A wtedy byli w obstawie. Widok z naszego mieszkania, bo było co prawda [oddalone] z kilometr, ale wtedy nie było takich zabudowań, drzew, czyli widok na pola od nas z ogrodu był świetny. Znaczą od babci, bo nasz był od frontu, od szosy, ale babci ogród był na pola i stamtąd [wszystko] obserwowaliśmy. Prowadzili gromadę, może sześćdziesięciu Żydów, taki oddział. Prowadziło ich chyba ze czterech Niemców i dwóch, czy trzech tych własowców. Tuż przed bramą kirkutu jeden z tych Żydów wyrwał się i zaczął uciekać. Wszyscy, a przede wszystkim ci Niemcy, podeszli z [red. jednej] strony tego oddziału i zaczęli za nim strzelać. A on uciekał. Prawdopodobnie żaden z nich go nie trafił, mimo tego, że wszyscy strzelali, nawet z automatów. To było przed zachodem słońca i było widać, jak on ucieka w pola. Już był daleko. W pewnym momencie oni przestali strzelać, a ten Miotiłka, to był wysoki chłop, chyba wysportowany też, w każdym bądź razie, zaczął pędzić za tym Żydem. Ta odległość była dość duża, tamci zaczęli znów prowadzić tych Żydów dalej, a ten Ukrainiec pędził za tamtym [człowiekiem]. Już zdawało się, że zwiększył odległość, ale ten skurczybyk przykłął z tą swoją luśnią, wymierzył i strzelił. Żyd zaczął kuleć. Od razu było widać po tym strzale, że on kuleje, już zwolnił. Ten wstał i zaczął pędzić do niego. Wypadli tak na horyzont, ten obraz mam [przed oczami] do tej pory. I na tym horyzoncie widać, jak on dobiega do tego Żyda, który ukląkł i tak wznosił do niego ręce. A ten mu strzelił w głowę z bliska z tej swojej luśni. Tylko się głowa rozbryzgała, to było widać na tle nieba, bo oni tak na horyzont weszli. I ten sobie tylko zapalił

papierosa i z powrotem, jak z polowania wrócił, zostawiając tam tego Żyda. Następna sprawa. W niedzielę na ogół nie strzelali, ale widzę, że jakiś tam jest ruch na kirkucie.

W pewnym momencie widzę, że przyprowadzili tam Żydów. Podeszliśmy bliżej i patrzę, że jest ustawiony stolik, właściwie dwa stoliki, na jednym kupa żarcia – kiełbasy i wódek. A na drugim stoliku broń poskładana. Różne pistolety, karabinów nie było, ale te ich peemy i krótka broń. To wszystko dzieje się już na kirkucie. Tutaj oni ustawili sobie te stoliki, a [tam] była taka murowana z białego kamienia buda, tam chyba trzymali sprzęt pogrzebowy, czy coś takiego. Myśmy nie mieli wstępu na kierkut, bo był taki dozorca, co nas gonił, więc nawet nie wiem, co tam było. Ale w każdym bądź razie stała taka murowana buda. Oni tym ludziom kazali się rozebrać, to były Żydówki i dzieci, i starsi ludzie –i kazali im biegać wokół tego budynku. A oni sami przy tych stolikach pili i jedli, i od czasu do czasu któryś sobie tam upodobał, brał broń i strzelał [do ludzi], jak oni nabiegali na tę ścianę. Po pewnym czasie tamci zaczęli gromadzić się na tylnej ścianie. Wtedy [Niemcy] takiego jakiegoś gibaja wysyłali z automatem. Szedł i strzelał do tamtych z boku, więc znów zaczęli biegać. I ci sobie tak strzelali, aż ich wystrzelali do końca.

Nie wszystkich dobijali, bo potem brali naszych, żeby zakopywać tych ludzi, to ci, co zakopywali, mówili, że spod piasku to ręce jeszcze wychodziły. Z tych dołów. To nie są bajki, mówię, to co ja widziałem. To wszystko było na moich oczach. Tak, że były takie rzeczy i na to wszystko człowiek musiał patrzeć. I dlatego, jak mówiłem –nie było dobrego Niemca. Ja ich nie widziałem. Zarówno ci, co mieli te sławetne błyskawice SS, ci, co mieli trupie czaszki, czy ci, co mieli oznaki wermachtu, jednakowo byli dranie. Ja nie widziałem dobrych Niemców. Czy mogłem myśleć inaczej po takich widokach? Mało tego, wiedziałem, że wcześniej, czy później nas może czekać to samo. Bo na to się zanosilo, Gdyby tu nasiedlali na te ziemie swoich, to z części z nas by zrobili parobków, a część by zlikwidowali tak, jak zlikwidowali Żydów, to było do przewidzenia. No i nie było już Żydów w Piaskach. I długo, długo, długo się nie pokazywali. Choć był czas, że byli.

Data i miejsce nagrania	2018-06-13, Zamość
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"